Nr. 15 (1059). Warszawa, dnia 31 Marca (13 Kwietnia) 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60. rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Cieszyn i „Koło.“

Z początkiem wiosny przeciągnęła przez Galicyę burza. Burze wiosenne przynoszą podobno błogosławieństwo na niwy. Niwa galicyjska bardzo potrzebuje; do uśmiechu burz wiosennych ma dobrze nabyte prawo. Chmury na burzę napędził krzyk z Cieszyna — krzyk trwogi wobec niebezpieczeństwa. Gimnazyum cieszyńskie, przed sześciu laty przez ludzi dobrej woli z Galicyi do życia powołane, skutkiem niemocy najwyższego opiekuna tej samej Galicyi stanęło teraz nad przepaścią upadku. Są klasy, są uczniowie, ale niema pieniędzy. Rząd dawał dotychczas marną zapomogę 12,000 fl.; Koło galicyjskie w Wiedniu, znając doskonale położenie — a jeśli komu, to jemu nieznajomością tłomaczyć się nie wolno — na swój sposób, w swoim stylu zajęło się usunięciem niebezpieczeństwa i wyjednało — dwa tysiące fl. podwyżki, w sam raz tyle, ile potrzeba szkole śląskiej do śmierci. Po takim czynie Koła na malownicze łysiny, sędziwe brody, eleganckie wąsy — a przedewszystkiem na najbardziej charakterystyczne ze wszystkich znaków szczególnych ordery, powiał zrazu tylko wiatr, a później już wicher gniewu, aż wreszcie w tej krainie bezdennego prawie różniczkowania się na partye i partyjki zahuczała burzu pod jednem hasłem jakby jednego wielkiego stronnictwa, topiącego w sobie całą bujność i całą też małostkowość od indywidualizacyi przekonań, pragnień, dążeń i interesów nieodłączną. Kraj zaroił się od wieców, ożywił od złorzeczeń, rozjaśnił od samej myśli twórczej tego w zasadzie samej pożytecznego, w okolicznościach danych niezbędnego ruchu. Burza, jeszcze błyskająca, mogłaby się stać kolebką nowego, rzeczywiście organicznego stronnictwa w Galicyi, gdyby nad tym krajem koronnym nie czuwał zamiast Opatrzności ucieszny jakiś Asmodeusz, który stale chwyta przędziwo dziejów i za złociste nici jedwabne dobrych zamysłów nawet warunków przyjaznych podstawia szarą przędzę egoizmu, niedołęztwa woli i krótkowidztwa umysłowego.

Pierwszym większym wiecem był odbyty we Lwowie d. 31 marca. Zwołał go prof. Soleski. Wiec ten zajechał wprawdzie przez Cieszyn do Breitera, ale wydał uchwałę dotyczącą gimnazyum a karcącą Koło, i zażądał w niej tego, czego już dawno powinni byli zażądać przedstawiciele Galicyi — upaństwowienia szkoły. Tego samego dnia półtora tysiąca ludu śląskiego ujrzało się na wiecu w samym Cieszynie. Tu już obrady odrazu zakreślono wielkim promieniem i roztrząśnięto dbałość władz wiedeńskich o prawa i interesa ludności rdzennej Śląska. Okazało się, że 50 tysięcy Niemców ma aż 8 szkół średnich, a 240 tysięcy Polaków tylko jednę i to własnemi ofiarami zaprowadzoną i podtrzymywaną. I dla tego dzieła rąk własnych niepodobna było dotychczas wyjednać etatu państwowego! Ministeryum wiedeńskie woli myśleć o Niemcach, Koło galicyjskie wielkiej swej polityki nie chce poświęcać dla małej: porozumienie z rządem, równowaga chwilowa w Izbie mogłyby prysnąć, gdyby śmielsze jakieś postawiono p. Koerberowi żądanie. W takie wiatrem podszyte futro ubrał się też i poseł swoisty Cieszyna, adwokat Michejda: bronił Koła, że zrobiwszy nic, więcej zrobić nie mogło. Ostatecznie uchwalono rezolucyę na podstawie bardzo rozległych pojęć ogólnych opartą, a stanowiącą, że po sześciu latach istnienia gimnazyum cieszyńskiego przy niezwykle małem obciążeniu skarbu państwa i zupełnie zadawalającym, normalnym rozwoju wewnętrznym wszelka zapomoga dalsza, choćby najwyższa, będzie upokarzającą dla Śląska, a targowanie się Koła o nią może być tylko uwłaczającą honorowi narodowemu żebraniną dla instytucyi, która powinna być upaństwowioną. Niemcy nawet na wiecu obecni za upaństwowieniem przemawiali. Dostało się na wiecu p. Michejdzie; ale można mieć nadzieję, że poseł, świeży jeszcze polityk, nie mając dostatecznej wprawy w oryentowaniu się politycznem, zapomniał, iż w polityce trzeba mieć zawsze zaostrzony rozum, nawet wobec tych, z którymi jedną idzie się drogą.

D. 3 kwietnia odbył się trzeci wiec większy — w Krakowie. Dzięki postawie zajętej przez radę miejską, narada stała się tłumną i odbyła się w samym magistracie. Prócz inteligencyi większej i mniejszej zjawiło się po dwóch posłów: na sejm i do rady. Poseł sejmowy Klemensiewicz był twórcą zebrania, jego kolega Wójcik, jako przedstawiciel ludu, przyszedł tam, gdzie był potrzebnym. Po zagajeniu wiecu przez Klemensiewicza wyłożył sprawę Konopiński, gruntownie i porządnie; powtórzył fakta i liczby z obrad cieszyńskich, wzbogacając je dodatkowemi, które nadały prawu Cieszyna całą przejrzystość. Cztery rezolucye zaproponowane przez wykładającego rzecz wytwarzają nader składną całość, ale w tej całości nie przeszły przez ostateczne głosowanie. Uchwalono przecież punkt główny: wezwano rząd, aby na podstawie ustaw zasadniczych dokonał upaństwowienia. Koło polskie ma wymódz na rządzie to zastosowanie się do ustaw zasadniczych, ma przedewszystkiem zejść „z błędnie obranej drogi politycznej“ — niepodobna łagodniej nazwać niedołęztwa i mędrkowania wynikającego z czczości zasad przewodnich. Punkt trzeci groził wywołaniem z Koła wszystkich posłów demokratycznych, jeżeli Koło nie poprze upaństwowienia: niewiadomo w jakiej go postaci uchwalono. Posłowie demokratyczni, rzecz prosta, obowiązani są domagać się upaństwowienia. Bardzo dobry dzień miał p. Daszyński na wiecu. Postawił kwestyę zasadniczo, radykalnie nawet, ale nie, jak najczęściej bywa, na ostrzu noża. Na co się zda żądać i grozić, kiedy Koło, jak dziś jest, nie odważy się na opór przeciw ministrom: trzeba przedewszystkiem Koło *in capite et membris* przekształcić — czyli wybrać nowe — na nowych wyborach — taka była podstawa logiczna wystąpienia. I przeciwko temu nic mieć nie można, gdy p. Daszyński widzi w Kole „karyerowiczów ubiegających się przedewszystkiem o ordery i teki ministeryalne“ — poprawić by można — nawet nie ministeryalne i nie teki, ale realniejsze od nich konce-

syo, i przeróżnego rodzaju alewiacye. Takimi nie są wszyscy, ale taką jest większość — a większość w uchwałach to wszyscy.

W każdym razie ruch, który sto kilkadziesiąt miejscowości łańcuchem wiecowym ogarnął — straconym chyba dla Galicyi, mimo owej specyalnie galicyjskiej opatrzności, nie będzie.

Tydzień polityczny. Nowy gabinet bulgarski Karawełowa zdobył się na odwagę: uległ naciskowi dyplomacyi trzymającej straż nad Półwyspem Bałkańskim i rozwiązał komitet macedoński. Ten komitet był to stały związek polityczny, spiskujący i przeciw Rumunom i przeciw Turkom i przeciw Serbom zamieszkałym w Macedonii przyległej do Księztwa i zagarniający ich pospołu z Bulgarami do Bulgaryi. Przeważnie składał się on z polityków niezadowolonych i oficerów protegowanych. Karawełow, dopóki nie był ministrem, gorąco go popierał i bronił, bodaj nawet, czy przed 10 laty, w dobie powstawania instytucyi spiskującej, nie był sam jej współzałożycielem. Komitet był tak popularnym, że go można „narodowym“ nazwać. Rozwiązanie wywołało w samej Sofii rozruchy. Za powód posłużyło podobno wykrycie uczestnictwa komitetu w zamordowaniu prof. uniw. w Bukareszcie, Michaleana.

W Hiszpanii nowe ruchy na pomorzu Śródziemnem i w Andaluzyi — przeciw zakonom.

Dr. Leyds pełnomocnik rzeczypospolitych boerskich, organizuje przeciwko Anglii bojkot handlowy; zbiera firmy, które zobowiązują się nie kupować towarów angielskich. Oczywiście, chce tylko wywrzeć nacisk na wielki przemysł angielski. Zapóźno już i na działanie i na skutek. Cała działalność europejska Boerów nie ma już powagi należytej. Nawet misya Krugera była tylko dorobioną do jego wycofania się z ojczyzny, aby mu odjąć cierpkość ucieczki.

Zanardelli widział się w Weronie d. 3 b. m. z Bülowem w przejeździe kanclerza do Wenecyi. Spotkanie to wywołał fakt pochylania się Włoch ku Francyi. Oryginalną, prawie zabawną wiadomość podają dzienniki o zjeździe Zanardellego, Bülowa i—Waldeck-Rousseau'a.

W Serbii Jovanowicza zastąpił Vuicz: stanął na czele niedawno utworzonego gabinetu. Król zamierza zmienić konstytucyę, okrojoną przez Milana po zamachu na jego życie; między innemi ma być wprowadzone dziedziczenie tronu przez kobiety. Królowa Draga powiła córkę, może nie powije już syna, i dynastya-by ustała, gdyby nie dopuścić kobiet.

W Galicyi występuje silny ruch przeciwko Kołu polskiemu, a za upaństwowieniem bezzwłocznem gimnazyum w Cieszynie. Jest to jedna tylko ze strzał w kołczanie — może najniecierpliwsza. Koło całe i w organizacyi swojej i w ludziach przypomina przytułek dla starców i niedołęgów, nieodczuwających żywego tętna ani narodowego, ani społecznego, zabawiających się w politykę małego faryniarza, który sprzedaje cukru za trzy grosze, a pieprzu za grosz. Z ogromnego stanowiska trudno marniej korzystać, niż korzysta to Koło, które na powołanie przez ideę federalistyczną, głuchem się okazało, obowiązki narodowe zbywa grzecznością dla ministrów, społecznych nie rozumie; jest zgromadzeniem dygnitarzy, a nie zbiorowiskiem sił walczących o prawo, o dobro, o trwały pożytek. Rozum na lince oportunizmu zapomniał już swych wrodzonych lotów; stał się maleńkim faryniarskim rozsądkiem, urobił na obraz i podobieństwo swoje i wolę i odwagę. Niedołęztwo w sprawie cieszyńskiej rzeczywiście oburza.

Nowy czyn wyższości aryjskiej nad nie-aryami. Amerykanie na Filipinach pojmali podstępem bohaterskiego przewódzcę powstania narodowego Tagalów, Aginalda, pofałszowali listy, poprzebierali swoich żołnierzy za filipińskich—i mają w swych rękach ofiarę. Wyślą ją na wygnanie. Uspokojenie zupełne pójdzie teraz szybko. Sześćdziesiąt pięć tysięcy wybawców z pod jarzma hiszpańskiego stoi na archipelagu, głównie Luçonie.

Loubet d. 7 b. m. wyjechał do Nizzy, d. 9 b. m. był w Tulonie. D. 8 b. m. zawitała do portu eskadra włoska pod dow. ks. Genui. Na trzy dni przedtem, nie chcąc przeszkadzać w uroczystości przeznaczonej tylko dla Włoch i Francyi, eskadra admirała Birylewa odpłynęła do Barcelony. D. 10 b. m. odbyła się uroczystość przyjaźni, wywzajemniającej się za przeszłoroczne Cagliari.

W Japonii nastrój wojenny. Poseł japoński wespół z angielskim wyjednał u cesarza koreańskiego cofnięcie dymisyi anglika Mac Leo-Brown'a, zarządzcy ceł. Mandżurya pozostaje nadal w rękach rosyjskich z przyczyn wskazanych w obszernym komunikacie Gońca Urzędowego.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

W OŚWIETLENIU KOMISYI.

Olbrzymi i szybki wzrost ludności Warszawy wyprzedził wiele urządzeń miejskich, które są dziś już zupełnie przestarzałe i wcale nie odpowiadają potrzebom. Do takich przestarzałych form należy między innemi i szpitalnictwo warszawskie, którego braki są tak dotkliwe, że wreszcie wywołały zabiegi około gruntownego zbadania tych instytucyj celem przedsięwzięcia następnie reform odpowiednich. Rada miejska dobroczynności publicznej zadanie to powierzyła osobnej komisyi (pod przewodnictwem d-ra Kosińskiego), złożonej z kuratorów szpitali, lekarzy i ekspertów. Owocem całorocznych badań jest obecnie referat, bardzo szczegółowo opracowany. Wyświetla on całą sprawę i zawiera bardzo ważne wnioski, nie obojętne dla wielotysięcznych rzesz ludności.

Historya szpitali warszawskich świadczy, iż większość ich powstała i istniała dzięki wyłącznie ofiarności prywatnej. Tym sposobem stały się zakładami dobroczynnymi, które przyjmowały chorych za opłatą. Tylko nędzarzy leczono bezpłatnie, i to w ostateczności. Dopiero od 3 czerwca 1894 r., t. j. od chwili wprowadzenia podatku szpitalnego, straciły one charakter instytucyj dobroczynnych a stały się społecznemi. Skutkiem tego, opieka i staranie o urządzenie ich tudzież rozszerzenie w miarę istotnych potrzeb ludności powinno być obowiązkiem zarządu, pod którego opieką pozostają.

W Cesarstwie szpitalnictwo należy do zarządów miejskich, których obowiązkiem jest zaspakajanie potrzeb ludności w tej mierze. „W Warszawie—jak mówi referat—mamy dwojakie rządy; wówczas bowiem, gdy całem gospodarstwem miejskiem rządzi magistrat, do jego kasy płyną wszystkie podatki i pobory miejskie, nie wyłączając nawet podatku rublowego na korzyść szpitali,—sprawy szpitalne, pomimo że należeć winny również do gospodarki miejskiej, znajdują się pod zarządem zupełnie samodzielnej instytucyi, Rady miejskiej dobroczynności publicznej. Magistrat warszawski żadnej nie ma styczności ze sprawami szpitalnemi i według ustawy z dn. 19 czerwca r. 1870, nie jest obowiązany do łożenia pieniędzy ani na utrzymanie, ani na powiększenie szpitali w miarę wzrostu potrzeb zwiększającej się ludności miasta. Ustawa ta daje tylko magistratowi możność udzielania zapomóg instytucyom dobroczynnym, pozostającym pod opieką Rady miejskiej dobroczynności publicznej, rozmiary zaś tych zapomóg zależne są od remanentu, pozostałego po zaspokojeniu wszystkich innych potrzeb miasta“.

Obecnie szpitale warszawskie posiadają

SZKICE WIEJSKIE.

Emancypantka.

(Dokończenie).

Przybyła gęba do jedzenia i to gęba potężna, która, jeśli jej nie zatkać, pomstuje i wymyśla. A trzeba tej gębie i papierosiska! Zarób na wszystko, Juloczko!

Położenie Wolentarskiej nie wzbudza nawet litości między sąsiadami.

Stacewiczka śmieje się.

— A pocóż go brała? mogła wieprza kupić, toby ukarmiła i sprzedała, a tak! Chłop darmo żre, a nie robi nic.

Zresztą nie jedna Wolentarska ma taką dolę i takiego fiugasa. Malarz Budkiewicz też nic nie robi, tylko jego baba. On czeka roboty fachowej, na dzienny zarobek wstyd go iść. Malowanie pokoi, domów, to moja rzecz, mawia. I tak, przez całą zimę czekając, nieraz kawałek suchego chleba zjada na obiad. Chodzi taki zmizerowany, że aż strach spojrzeć, bo i włosy zapuścił długie i nie ogolił się.

— Już jak człowiek w biedzie — twierdzi Stacewiczka — to się tak opuści, że ani ostrzydz się, ani umyć nie chce.

I niejeden Budkiewicz się znajdzie, a szewc Lubrański? Siedzi też przy dzieciaku, a żonę pędzi do prania dzień w dzień.

No, ale ten przynajmniej dziecko bawi, a że był w wojsku „koszewarem,“ więc i obiad nietylko umie, ale i lubi ugotować.

— Grochówkę to mogliby i państwo jeść, jeszczeby palce oblizali — chwali się do powracającej od prania żony. — Zostawiłem ci w garnuszku, skosztuj tych delicyj.

O synku pamięta, jak rodzona matka. Wstaje w nocy do niego, choćby pięć, sześć razy; a rano żony pyta:

— No, Józia, a ile razy Staś płakał?

Ona, żeby się nie pomylić (bo myśli, że dwa razy), mówi:

— No, cztery razy.

— Abo nie sześć! Ty, kochająca matko! — i śmieje się.

No, ten przynajmniej sam siebie i dzieciaka nakarmi; jeszcze się pośmieje. Nie wymyśla, a mógłby! któż mu zabronił? I pięścią mógłby przyłożyć, także by się za babą nikt nie ujął! A zarabiać „równo“ musiałaby, bo głód i zimno w chałupie wypędzi do prania.

Ta bo umie przymówić się i o węgiel i o cukier dla dzieciaka, nawet wykołacze podwyższenie płacy do pół rubla.

* * *

Wolentarska zaś pracuje od świtu do nocy, czasem nawet w nocy; bo jak tylko gdzie wieczorek urządzają, albo imieniny, większe zebranie, już ona na całą noc idzie i pomaga.

— Żeby aby parę kopiejek zarobić!

Czasem i ochłapów do domu przyniesie.

Sprzedaje też stare rzeczy pań, zachwala, żeby sługi kupowały, ale to najmniej się jej udaje.

— Mój Boże — wyrzeka — jaki mnie wstyd, osobliwie w niedzielę, jak zobaczę kogoś znajomego, co do kościoła idzie, to się chowam, gdzie mogę, z tymi koszami.

A mężulek nic! Kiedyś zrobił takie piekło, że mu kazała iść na zarobek.

— To ty idź! — mówi. — Jak nie mam roboty, to chcesz, żebym kradł?

— A to kradnij! — woła zrozpaczone kobiecisko.

około 2400 miejsc etatowych, nie licząc zakładów dla obłąkanych, których komisya nie uwzględniła, ponieważ utrzymują się one z osobnego podatku, obowiązującego mieszkańców całego Królestwa.

Według danych policyjnych, ludność Warszawy bez wojska dnia 1 stycznia r. 1900 wynosiła 690,000. Podzieliwszy tę sumę przez ogólną liczbę miejsc etatowych w szpitalach, otrzymamy iż jedno łóżko przypada więcej niż na 287 mieszkańców. Tymczasem w wielkich miastach Europy zachodniej przyjęto normę niezbędną: 1 łóżko na 200 mieszkańców.

Do Warszawy uciekają się chorzy z całego kraju, który posiada szpitali bardzo mało. Klasa wyrobnicza i wogóle uboga stanowi znaczną odsetkę ludności Warszawy. Wreszcie brak przytułków i oddziałów dla nieuleczalnych wywołuje przepełnienie szpitali chorymi, którzy opieki szpitalnej nie wymagają.

Wobec takiego stanu rzeczy komisya przyszła do wniosku, że Warszawa w stosunku do liczby mieszkańców powinna mieć najmniej 3,500 łóżek szpitalnych, t. j. o 1,100 więcej, niż posiada obecnie. Uwzględniając atoli obecny stan finansów, komisya za normę najniezbędniejszą bierze 1 łóżko na 230 mieszkańców, t. j. żąda o 600 miejsc więcej niż jest obecnie.

Na zaznaczenie zasługują następujące bardzo ważne potrzeby, sformułowane w osobnym referacie przez podkomisyę lekarską. Szpitale warszawskie, straciwszy charakter prywatnych zakładów dobroczynnych, powinny być bezwarunkowo, jako instytucye społeczne, z gruntu przekształcone. Szpitale te, z wyjątkiem nowo zbudowanych lub przerobionych w ostatnich czasach przez Radę miejską, nie odpowiadają wymaganiom dzisiejszym ani co do pomieszczenia, ani budowy, ani pod względem urządzenia wewnętrznego i wymagają gruntownej przeróbki. Szczególnie dwa szpitale: Wolski i św. Rocha, posiadają te braki i dla tego pierwszy powinien otrzymać zupełnie nowe pomieszczenie, drugi zaś powinien być zupełnie przeniesiony na inne miejsce. Nadto trzeba przerobić szpitale: św. Łazarza i na Pradze. Urządzenie sal, pościel, bielizna i ubranie nie odpowiadają ani potrzebom chorych, ani wymaganiom hygieny. Utrzymanie chorych z braku funduszów jest niedostateczne, pielęgnowanie zaś ich wobec ograniczonej służby niższej i częstej jej zmiany (spowodowanej brakiem zabezpieczenia bytu) również jest niedostateczne. Pomoc lekarska, przy niezmiernie małem wynagrodzeniu lekarzy, jest wadliwa. Ambulatorya, zapewniające dorywczą pomoc lekarską ludności ubogiej, są zupełnie niewystarczające.

Opierając się na tych wszystkich danych, komisya uważa za rzecz niezbędną postarać się, oprócz 600 nowych miejsc szpitalnych, o ulepszenie istniejących przez zaprowadzenie w szpitalach urządzeń kanalizacyjnych, wodociągowych i wentylacyjnych, o odpowiednie przerobienie kuchen, pralni, łazienek itd., tudzież wzniesienie domów dla administracyi i służby szpitalnej.

Na to wszystko wszakże potrzebne są fundusze: jednorazowy i stały. Na wybudowanie nowych szpitali i gruntowną przeróbkę starych przewidziano wydatek jednorazowy w sumie około 1,334,750 rb. Ponieważ gotowych funduszów Rada miejska nie posiada, więc uzyskać je można tylko drogą pożyczki u rządu. Jako jej zabezpieczenie, mogłyby służyć pierwsze wpływy z podatku szpitalnego. Gdyby rząd nie zgodził się na propozycyę, wtedy pozostanie tylko pożyczka wewnętrzna z sum stanowiących własność szpitali, albo sprzedaż nieruchomości, np. Rakowca. (Towarzystwo kredytowe miejskie ocenia tę posiadłość na 2,500,000 rb.). Można wreszcie zrobić użytek także z kapitałów zakładów dobroczynnych. Chociaż sumy te są nietykalne jako kapitał żelazny, jednakże przy zagwarantowaniu całkowitego zwrotu pożyczki, operacya ta jest możliwą. Ze szpitali, wymagających rozszerzenia lub gruntownej przebudowy, trzy rozporządzają dość znacznymi kapitałami, które można użyć na cele powyższe także na warunkach pożyczki, mianowicie: na szpital św. Ducha 65,000 rb., Wolski 35,000, św. Rocha 116,000, ogółem 216,000. Ze sprzedaży szpitala św. Rocha można otrzymać 200,000 rb. Tym sposobem suma pożyczki u rządu znacznieby się zmniejszyła.

Ogólna suma stałych dochodów szpitali wynosi 410,000 rub. (w tej cyfrze 200,000 z podatku rublowego). Wobec możliwości rozciągnięcia podatku szpitalnego na całą ludność miejską, kiedy opodatkowani będą mieszkańcy Warszawy bez różnicy narodowości i wyznania, komisya uważa za konieczne zapewnić szpitalowi starozakonnych, ewangelickiemu, Instytutowi oftalmicznemu i szpitalowi dla dzieci subsydyum roczne wzamian za leczenie bezpłatne, za które teraz Rada miejska zwraca szpitalom po 30 kop. dziennie. Wydatki roczne na utrzymanie szpitali, pozostających pod bezpośrednim zarządem Rady miejskiej, powinny być obliczone w sposób następujący: 763,750 dni szpitalnych czyli 763,750 rub., $5^1/_2{}^0/_0$ na amortyzacyę długu 1,134,750 rub. z kapitałów zakładów dobroczynnych ($4^0/_0$ i [illegible] na umorzenie) w ciągu 33 lat=62,411 rub. 25 kop.; zapomogi szpitalowi starozakonnych 60,000; dla dzieci chrześciańskich, ewangelickiemu i Instytutowi oftalmicznemu 40,000 razem 926,161 rub. rocznie, albo okrągła suma 925,000. Ponieważ zaś na pokrycie tych wydatków obecnie Rada miejska rozporządza tylko około 410,000 rub., to deficyt roczny na rzecz utrzymania szpitali warszawskich wyniesie przeszło 500,000 rub. Sumę tę można zdobyć tylko za pomocą zmiany obecnych przepisów o podatku szpitalnym w ten sposób, ażeby do tak ważnego obowiązku byli pociągnięci wszyscy bez wyjątku mieszkańcy Warszawy od pewnego wieku. Słusznie tę potrzebę komisya umotywowała w sposób następujący: „Chociaż człowiek zamożny osobiście nie korzysta ze szpitali, przynoszą one mu jednak wielkie korzyści. Dzięki bowiem przeznaczeniu swojemu, szpitale stanowią jedno z najważniejszych ogniw społecznych urządzeń sanitarnych. Nie pozwalają rozszerzać się zarazie, wynajdują jej ogniska (dzięki ambulatoryom) i tłumiąc je w zarodku, tem samem ochraniają wszystkich bez różnicy stanu od zarazy“. Dodajmy jeszcze, że do szpitali zazwyczaj idą ci, którzy jako pracownicy, poświęcają swe siły dla zamożnych i niejednokrotnie targają je dla nich.

Sprawa szpitalna zawsze jednak będzie chromała jeżeli, jak słusznie twierdzi komisya, jednocześnie ze szpitalami ogólnymi nie będą powstawały przytułki i schroniska dla starców, tudzież zakłady specyalne dla chorych nieuleczalnych i dotkniętych chorobami przewlekłemi. W ten sposób szpitale ogólne uwolniłyby się od przepełnienia chorymi, niepodlegającymi leczeniu. Nadto, ambulatorya szpitalne, w których obecnie udziela się porad lekarskich około 200 chorym, muszą być rozszerzone, niektóre zaś, nieodpowiadające najskromniejszym wymaganiom hygieny, muszą być urządzone na nowo. Komisya całkiem słusznie uważa za konieczne pociągnąć do bezpośredniego i czynnego współudziału w sprawie rozszerzenia pomocy szpitalnej miejscowych fabrykantów i przemysłowców, którzy dla robotników swych potrzebują co najmniej 250—300 łóżek szpitalnych i korzystają dotychczas ze szpitali miejskich. Powinni oni wybu-

---

Nie obawia on się wogóle jej wołania, wie, że się skończy na tem, a rano baba wstanie, jeszcze kawy w garnku zostawi, zanim z koszami wyruszy w świat! Stefkę najstarszą wypędził z domu do służby.

— Niech próżno nie je! — mówi.

Jak mu fantazya przyszła, obiecał, że ich wszystkich porozpędza, bo mieszkanie jego.

— No, i to cielę cierpi wszystko—dziwi się Stacewiczka. — Grosza, szeląga nie dał, i mieszkanie jego!

A z wiosną, kiedy się ociepliło, Wolentarski myśli znów o wycieczce; tym razem już nie tak dalekiej, bo tylko do Anglii. Poduczył się trochę w Ameryce języka, to już go nikt nie oszuka.

Więc zaczęli zbierać pieniądze na ten cel u wszystkich znajomych. A umiał radzić dobrze swojej babie:

— Pożycz od pani, pożycz od rzeźnika, pożycz jeszcze gdzie.

A to cielę — jak o niej zawsze mawia Stacewiczowa — idzie! Nie pyta o nic, tylko idzie i skamle. I wyskamlała tak całe sześćdziesiąt rubli.

Jest przecież pewna, że je zwróci, nie on naturalnie, bo już przestała wierzyć w jego zarobek, ale ona sama postara się. Zaklina się tylko, że on już nie wróci, że ona go nie przyjmie (tak jakby to można było). Płacze i obiecuje co może, byle do stać.

Uzebrowała więc sześćdziesiąt rubli i zepchnęła go sobie z karku.

W domu już jest pięcioro drobiazgu. Stefkę odebrała ze służby, bo rady sama dać nie może; i znów pcha biedę z dnia na dzień, i teraz naprawdę modli się do Boga, żeby Leopold przepadł i więcej nie wracał.

Powrócił jednak, jeszcze prędzej, niż z pierwszej wycieczki. Powrócił w parę miesięcy z miną dobrą, rozumem jeszcze większym i zaczął już żoną pomiatać na dobre. Mówi jej:

— Pożycz piętnaście rubli, to pojadę, zakupię jaj, będziesz handlowała.

Ale ona już tak się boi jego podróży, że teraz nawet nie próbowała pożyczać.

Więc pan Leopold wziął się do książek. Czyta z takiem zajęciem, że gdy mu przyjdzie sięgnąć po coś, to ręką po omacku szuka, bierze, a oczów od książki nie odrywa.

Nietylko czyta, ale pochłania.

Chłopak ciągle lata, pożycza i odnosi książki.

Niejeden mu radzi, żeby ojciec lepiej wziął się do roboty, poszedł do kościoła.

On mu tego nie powtórzy, bo by srodze pożałował.

Stary zrobił sobie na dzieci pytę i wali za byle co.

Kiedyś nawet Stefkę uderzył w twarz, aż jej zapuchła. I o nic, prosiła tylko, żeby „tata“ się z książką odsunął.

Okropność! Dziewczyna się spłakała, uciekła z domu, aż ją matka sprowadziła; do „taty“ jednak przez kilka dni słowa nie przemówiła. Nawet matkę buntuje. Mówi:

— Niech mama nie daje pieniędzy, niech tato nie je; niech z głodu mrze, kiedy nam pomódz nie chce.

O! onaby tak nie wytrzymała. Spogląda ze łzami po izdebce: z łóżka zniknęły, najpiękniejsze poduszki; i szafy już niema, pusta ściana po niej!

Wczoraj słyszała, jak namawiał rzeźnika na kanapkę, żądał od niego pięć rubli (bo pokrycie dała Wolentarska nowe).

— Matko! mamo! — zanosi się dziewczyna od płaczu — niech mama nie daje, bo wszystko pójdzie, tylko gołe ściany zostaną! Niech mama przeklina, płacze, a niech nie daje.

Stary znienawidził dziewczynę, ale jej się trochę czy wstydzi, czy boi. Już jak

dować specyalny szpital fabryczny na daną liczbę łóżek albo też urządzić dla swoich robotników tyleż miejsc w szpitalach istniejących.

Ze sprawą reformy szpitalnej ściśle jest związany warunek unormowania płacy obsługujących je lekarzy. Zgodnie z wnioskiem podkomisyi lekarskiej, należy ustanowić następującą normę: Lekarze naczelni powinni otrzymywać najmniej 1500 rub. pensyi i mieszkania w naturze (w cenie 700 rub.); zarządzający oddziałami po 1000 rub. pensyi i jeden z nich (w szpitalu Dz. Jezus) mieszkanie w naturze (cena 500 rub.); ordynatorzy po 900 rub.; asystenci-interni po 180 rub. pensyi, mieszkanie w naturze (180 rub.) i utrzymanie w cenie 182 rub. 50 kop. rocznie: asystenci-eksterni po 300 rub. rocznie. Tym sposobem wydatek na personel lekarski wyniesie 17,6 kop. na jednego chorego dziennie. Skutkiem powiększenia szpitali i zmiany warunków utrzymania, wydatek na płacę urzędników i pisarzy zwiększy się w stosunku do istniejącego przynajmniej o 30% (w stosunku 6,1 kop. dziennie na chorego). Należy także zwiększyć płacę felczerem do 240 rub. rocznie. Ponieważ przy zwiększonej liczbie asystentów liczba felczerów może być dwa razy mniejszą, więc wydatki na ich utrzymanie również się zmniejszą z 1,8 do 1,0 kop. dziennie na chorego. W każdym oddziale powinien być jeden posługacz na 10 chorych w dzień i jeden na 20 w nocy. Nadto, jak praktyka wykazuje, liczba posługaczów do czynności zewnętrznych powinna być nie mniejsza od ogólnej ich liczby przy chorych. Wydatki na utrzymanie każdego posługacza wynoszą po 92 rub. rocznie, na mieszkanie 24 rub.; dla służby sal przy chorych 96 r., dla służby zewnętrznej 72 ruble.

Jak widzimy, wnioski komisyi są niesłychanie ważne. Przyszła ona do przekonania, że jeżeli te wszystkie zabiegi lub chociaż jeden z nich (zastosowanie podatku szpitalnego do wszystkich mieszkańców Warszawy) nie będą uwzględnione „to całe szpitalnictwo warszawskie powinno bezwarunkowo i niezwłocznie przejść w zupełności pod zarząd i opiekę magistratu z przynależnymi szpitalom kapitałami, majątkami i subsydyami; w przeciwnym razie na magistrat spadnie moralna odpowiedzialność przed 700-tysięczną ludnością Warszawy, ponieważ w bardzo niedalekiej przyszłości Rada miejska nie będzie miała środków na utrzymanie szpitalów“. *P.*

OBOWIĄZKI OBROŃCY KARNEGO.

Proces milionowego bankiera Sternberga, który był w swoim czasie opisany na łamach *Prawdy* w korespondencyi z Niemiec, wyprowadził z ukrycia i zaniedbania teoretycznego na arenę ożywionych rozpraw jedną z najbardziej palących kwestyj prawnych. Jak sobie czytelnik może przypomina, obrońcy Sternberga odegrali w procesie swego klienta niezupełnie pochlebną rolę. Słynny adwokat Sello zażądał zawezwania świadka, o którym z góry wiedział, iż zeznając pod przysięgą na korzyść bankiera, popełni krzywoprzysięstwo. Kolega zaś jego, Werthane, namawiał świadków do fałszywych zeznań, wystawiających podsądnego w korzystnem świetle. Obydwaj obrońcy, po wyjściu na jaw w toku procesu ich postępowania, zrzekli się swych obowiązków, a zarazem z inicyatywy rady adwokackiej byli pociągnięci do odpowiedzialności. Opinia publiczna mocno zaniepokoiła się z powodu skandalicznego zajścia, a w prasie odezwały się głosy, iż całą korporacyę adwokacką należy poddać dezinfekcyi. Odtąd tylko ten adwokat będzie zasługiwał na miano dżentelmena, który, żądając uwolnienia klienta, będzie z całej duszy przekonany o jego niewinności. *Aut aut.* Albo adwokat wierzy w piękne tyrady, któremi olśniewa i hypnotyzuje swe audytoryum, albo jest najpośledniejszym oszustem. Wtedy wystąpił w drażliwej kwestyi szczytny luminarz niemieckiej nauki prawnej, prof. Liszt, popularny nie tyle z powodu swych wielkich zasług naukowych, ile ze względu na to, iż nie zaskorupia się w swej muszli uczonego. Dzieli się on hojnie z szerokim ogółem swemi wiadomościami, a nawet ofiaruje mu swe usługi w sprawach społecznych, jak np. w walce z cenzurą teatralną, której zniesienia domaga się obecnie słynny kryminolog. Otóż jeden ze swych wykładów uniwersyteckich maestro poświęcił kwestyi obrończej. Adwokat — wywodzi on — podlega zarówno nakazom prawa, jak przepisom etyki w całej jej rozciągłości. Pomimo to powinien zawsze żądać uniewinnienia swego klienta— nawet wtedy, kiedy ten przyznał mu się poufnie do winy. W przeciwnym razie niechaj zrzeknie się swego urzędu. Słowa te wywołały popłoch w literalnem tego słowa znaczeniu. Prawnicy zaczęli sypać, jak z rękawa, artykułami i broszurami, skierowanemi przeciwko koryfeuszowi, który pomimo swych niewątpliwie dobrych chęci, zniżył i zniesławił stan obrończy w oczach ogółu, jako grupę ludzi, uprawiających profesyę mydlenia oczu sofizmatami i frazeologią buchalteryi podwójnej. Dla ostatecznego wyświetlenia sprawy tak żywotnej berlińskie stowarzyszenie adwokackie zaprosiło prof. Liszta na odczyt, w którym uzasadniłby obszerniej wydaną przez siebie opinię. Świecznik nauki wywiązał się ze swego zadania w sposób następujący:

Pomiędzy treścią a formą współczesnej procedury karnej zachodzi, zdaniem Liszta, niezgodność, którą można wytłomaczyć tylko drogą historyczną. Procedurę karną ukształtowano na wzór cywilnej, pomimo iż tamta nie przedstawia procesu we właściwem tego słowa znaczeniu. Prawodawstwo w sposób sztuczny utworzyło z niej walkę dwu stron. Procedura inkwizycyi więcej odpowiadała istocie procedury karnej. Pomimo to praktyka zmuszona była obrać sobie inną drogę, jako skuteczniej prowadzącą do wyświetlenia sprawy. Mianowicie powołano do życia dwu funkcyonaryuszów, mających za zadanie ciągnąć sędziego w dwie przeciwne strony. Jeśli w ostatnich czasach prokuratorya europejska przywłaszcza sobie miano urzędu bezstronnego i patrzy z tej racyi nieco z góry na obrońcę, to znajduje się stanowczo w grubym błędzie. Żaden prokurator na świecie nie podlega wyłącznie podszeptom swego sumienia, lecz kieruje się wymaganiami aktu oskarżenia i rozkazami swojej bezpośredniej zwierzchności. Jako urzędnik, wykonywa te rozkazy może wbrew własnym przekonaniom i żąda przeto skazania podsądnego nawet wtedy, kiedy wierzy w jego niewinność. Obrońcy zatem nie pozostaje nic innego, jak zająć stanowisko wręcz przeciwległe. Jego osobiste przekonania, o ile nie chce się sprzeniewierzyć swym obowiązkom i najżywotniejszym interesom klienta, nie powinny wchodzić w rachubę i wpływać na przebieg procesu. Wobec nielogicznego ukształtowania się procedury karnej, obrońca najlepiej uczyni zadość prawdzie objektywnej, gdy będzie w sposób stronny odpierał wszelkie zarzuty, skierowane przeciwko klientowi i przemawiające za jego winą. Jeśli podsądny nie jest obowiązany mówić prawdy, gdy szkodzi to jego interesom, to z jakiej racyi będziemy żądali bezwzględnej prawdomówności od obrońcy, którego powołuje prawo nie do szkodzenia

---

mu zbraknie tytuniu, nie mówi o tem głośno, tylko chrząka dopóty, dopóki żona nań nie spojrzy, wtedy wkłada palec w usta, dając jej tem poznać, że on ma chęć na cygarko albo papierosa!

— I wyobraźcie sobie — wybucha Stacewiczka — to ciele kupuje, za ostatni grosz kupuje!

Pani na dobre pogniewała się o to, ale Wolentarska tłomaczy:

— Proszę pani, on woli nie zjeść! Wczoraj też obiadu nie mieli, bom nic nie zarobiła, tylko się kawy z chlebem napili.

Stacewiczka śmieje się i opowiada, że jak tylko zarobi, zaraz mu ciastków postawi, bo już jak kto rozum straci, to całkowicie!

Leopoldek myśli teraz, jakby się dziewczaka pozbyć.

— Szesnaście lat kończy, może iść za pokojową, a niech mi tu się nie płacze, bo zbiję tak, że popamięta!

— Takeś ją wychowała!—mówi żonie— ani ojca uszanować, ani posłuchać. Będziesz ty jeszcze na nią płakała! Pięć dni do mnie gęby nie otworzyła.

A Stefka lamentuje do matki, że ani ona sukienki, ani swej pościeli, jak jaka żebraczka. Radaby i ona iść do służby, ale któż dzieciom jeść ugotuje? Teraz znów będzie mało, to któż matce posłuży, małego nakarmi? Toć nie on, bo jego od książki żadna siła nie oderwie.

Czytuje nawet przepisy kucharskie i łyka ślinkę przy smaczniejszych potrawach.

— Julka! — mówi wieczorem — umiałabyś ty takie zrazy przyrządzić?

Oj, umiałaby, umiała! — i przyrządzić i zjeść, daj tylko pieniędzy na mięso!

Stefka zaś w dalszym ciągu lamentuje.

— I szafę zjedlim, i poduszki, i moją pierzynę! I pieniędzy niema, i rzeczy poszły do ludzi.

Myśli nad tem i Wolentarska; chodząc po domach, wynajduje podarte obuwie do reparacyi, namawia jak może, że on już się postara, mocno zrobi.

Ale cóż! ludzie się odbili, każdy już ma swego szewca. Kiedy mu zdobędzie jaką robotę, sama odnosi i mniej żąda, niż Leopold każe, byle tylko nie zniechęcić, byle choć parę groszy mógł zarobić.

Stara się też, żeby go można z domu się pozbyć. On też nierad siedzi, parę listów wysłał do żoninych sióstr o szyfkartę w jej imieniu prosząc, ale one już nie głupie, nie dadzą się złapać. Odpisały, że ani myślą! Siedzi więc Leopold w domu, nie odzywa się do dzieci, tylko pytą do nich przemawia, a baba — robi za wszystkich i na wszystkich.

Rozwiązała kwestyę kobiecą doskonale, a jako emancypantka dźwiga ciężar utrzymania rodziny i powiększa ją.

Ojciec i matka w jednej osobie.

Robią to i dziesiątki innych: i Budkiewiczowa, i Lubrańska, i Wojtkowa jedna, druga i trzecia!

I ułożyło się to doskonale: już do ślubu idąc, kupuje panna panu młodemu strój, mebluje izbę, płaci zapowiedzi i ślub, nawet wesele swoim kosztem wyprawia i wprowadza dożywotnika do swego domu, swemi rękami zarabia mu na życie i cieszy się niezmiernie, gdy on choćby dziecku butelkę z mlekiem w usta wsadzi i sobie samemu obiad ugotuje.

Stacewiczka pięści zaciska, mówiąc o tem. I obiecuje, że onaby... onaby... spoiła, a potem zbiła, octu w pysk nalała, z domu precz wygnała, „kulasy“ poprzetrącała!

Tymczasem jednak tego nie potrzebuje robić, bo oni pracują oboje.

I. I.

klientowi, lecz do wspierania go. Dziwna i smutna sprzeczność tkwi w zawodzie obrońcy, ale sprzeczność ta wypływa z roli prawa, zmierzającego do zbadania prawdy drogą pojedynku pomiędzy prokuratorem a adwokatem.

Przypuśćmy zresztą, że obrońca ani na chwilę nie wątpi o winie oskarżonego. Ale pomimo to może być w najgrubszym błędzie, gdyż najgłębsze przeświadczenie nie jest równoważnikiem prawdy objektywnej. Gdy sam oskarżony otwiera upusty swego przepełnionego skruchą serca i przyznaje się do winy, nie mamy rękojmi, iż nie wyprowadza nas w pole, a co ważniejsza, iż nazajutrz podczas posiedzenia sądowego nie odwoła swych własnych słów, gdy przeminie chwila wyrzutów sumienia. Co ma wtedy począć obrońca? Czyż nie lepiej, aby poprzestał na zbadaniu niedostateczności tych dowodów, które obarczają podsądnego, tem bardziej, że sąd uwalnia od odpowiedzialności nietylko niewinnych, ale i tych, którym winy udowodnić nie można. Podobnie jak prokurator gromadzi stosy dowodów obciążających oskarżonego, tak obrońca powinien z urzędu przeciwnie — użyć wszystkich wysiłków, aby je obalić i w tym wypadku ma nawet prawo przytaczać z literatury takie opinie uczonych, które sam zwalczał w swych pracach naukowych.

Jeszcze trudniejszem jest stanowisko obrońcy podczas śledztwa, gdyż tu są do jego dyspozycyi tylko akty; przy przesłuchaniu świadków i ekspertów jest tylko wtedy obecnym, gdy ma ono być ostatecznem. Z konieczności rzeczy zatem i dla dobra swego klienta obrońca musi uciekać się niekiedy do usług prywatnych biur wywiadowczych, czyli instytucyj, które nie cieszą się szczególną reputacyą. Musi mieć do czynienia z indywiduami z pod ciemnej gwiazdy, brnącemi po szyję w błocie moralnem. Lecz i tu wina spada na prawodawstwo, albowiem ogranicza ono kompetencyę działalności obrończej. I tu więc występuje na jaw konieczność reformy, o ile wogóle jest ona możliwą bez gruntownej zmiany całego prawodawstwa karnego.

Od niezliczonych skrupułów tedy roi się zawód obrońcy, a jednak jak pięknem jest jego powołanie! Jak różnorodnymi są pierwiastki i warunki, które składają się na jego powodzenie! Wszechstronna rozległa wiedza, bogate doświadczenie życiowe, głęboki zmysł psychologiczny, przytomność ducha i przenikająca do głębi serc krasomówczość — oto środki, którymi walczy obrońca karny. Jeżeli musi stykać się z brudami życia i szumowinami społeczeństwa, co zresztą nie omija żadnego cywilisty, to przez to samo jest droższym naszemu sercu, podobnież jak droższemi są ręce siostry miłosierdzia, któremi nieraz dotykała brudnych, cuchnących ran, od pulchnych, białych rączek idyotki salonowej, uprawiającej sport flirtowy. Jeśli rzeczywistość nie zupełnie odpowiada wyłożonej tu teoryi, to odpowiedzialność za ten rozdźwięk spada na zmurszałe prawodawstwo karne, którego reformę uważa największy koryfeusz kryminalistyki współczesnej za najżywotniejszą potrzebę doby bieżącej.

Przedm.

Edward Strumpf

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Kiedy przed rokiem niespełna, dwudziesto-siedmioletni zaledwie i budzący najpiękniejsze nadzieje, Edward Strumpf przygotowywał gorączkowo do druku pierwszą swą większą książkę — wydane w parę miesięcy potem w „Bibliotece dzieł wyborowych" „Obrazy Kaukazu", nie było wśród nas, cośmy go znali bliżej, ani jednego, któryby się był nie oburzył na samo przypuszczenie, że te zajmujące, a powleczone, niby welonem mgły, melancholijnym smętkiem i tęsknotą, kartki z podróży — będą zarazem ostatnią pracą literacką młodego podróżnika i uczonego. Tyle w nim było wówczas gorącego zapału młodości, taka niespożyta i różnostronna energia, takie wielkie pragnienie czynu, tyle planów i zamiarów na przyszłość najbliższą.

Minęło dni niewiele. W lipcu roku zeszłego ukazała się książka, a pierwsze jej egzemplarze z wielką trudnością mógł już przeglądać autor, pasujący się z okropną chorobą, która go przykuła do łoża na długie miesiące przedśmiertnej agonii. Niespodziewanie zupełnie, w przededniu zamierzonego wyjazdu na odpoczynek letni, przyszedł krwotok jeden i drugi, i ukryta gdzieś w młodym organizmie gruźlica zaczęła szerzyć w nim spustoszenie gwałtowne, którego morderczej orgii opanować nie zdołały ani wysiłki lekarzy, pragnących gorąco ocalić nauce zdolnego pracownika, a społeczeństwu szlachetnego człowieka, ani troskliwa opieka rodziny i przyjaciół, na których choremu nie zbywało. Nie przyniósł ulgi w cierpieniu kilkomiesięczny pobyt na południu i w Zakopanem, aż wreszcie odwieczna tragedya młodego życia znalazła dla Strumpfa kres i rozwiązanie w rodzinnych jego Siedlcach, gdzie 8 b. m., w kilka dni zaledwie po powrocie z bezskutecznej kuracyi zamknął na zawsze powieki.

Czytelnikom *Prawdy* nieobce jest nazwisko Strumpfa. Na szpaltach naszego pisma pomieścił on w r. 1899 ładny ustęp ze swych „Obrazów Kaukazu" p. t. „Na szczyt Lalwaru" oraz kilka artykułów naukowych z dziedziny biologii, nad którą pracował z zamiłowaniem (ostatni p. t. „Stulecie komórki" — w roku zeszłym, na krótko przed pierwszym atakiem choroby). Poważniejsze wyniki swych badań w umiłowanym zakresie zawarł w dwu rozprawach specyalnych: „O budowie anatomicznej roślinności górskiej na Kaukazie" i „Z histologii sosny". Za pierwszą z nich, ogłoszoną następnie w XXIX tomie „Prac petersburskiego Towarzystwa badaczy przyrody" oraz w osobnej odbitce, otrzymał od uniwersytetu jurjewskiego (dorpackiego) stopień kandydata nauk przyrodniczych; druga, wydana nakładem Krakowskiej Akademii Umiejętności, jest owocem całorocznych studyów w pracowni Instytutu Botanicznego w Bonn, pod kierunkiem b. profesora Szkoły Głównej, Edwarda Strassburgera.

Szerszym kołom publiczności zmarły przedwcześnie badacz znany jest lepiej, jako autor szeregu popularnych artykułów z zakresu nauk przyrodniczych, botaniki głównie, ogłaszanych przeważnie we *Wszechświecie*, oraz z barwnych, nieraz prawdziwie poetycznych pogadanek naukowych, drukowanych w paru innych pismach warszawskich.

Po powrocie z Bonn został niebawem zaproszony na współredaktora w dziale botanicznym *Wszechświata*, a wkrótce potem objął kierunek tego działu i w „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej". Niezależnie od tego przetłomaczył znaczną część obszernego dzieła Warminga p. t. „Zbiorowiska roślinne" i wydał popularny zarys ogólnej morfologii roślin p. t. „Z jakich części składa się roślina i do czego są jej te części potrzebne?" Gdy przypomnimy tu jeszcze wykłady jego w Towarzystwie Ogrodniczem i zamiejskie wycieczki botaniczne, na których tak umiał rozbudzać w coraz szerszych kołach zapał do wiedzy i niekłamane zamiłowanie do badań nad florą polską, to zaiste zdumienie w nas wzbudzi ta niezwykła ruchliwość, ta niezmordowana pracowitość w tak młodym wieku, skierowane zawsze ku celom podniosłym, promiennym.

A i życie samo nie dawało mu spoczynku i zbyt często w ciągu ostatnich lat kilku kazało tęsknić do stron rodzinnych. Studya uniwersyteckie przerwał mu na dwa lata wyjazd na Kaukaz, potem przyszedł pobyt w Jurjewie (Dorpacie), gdzie ukończył wydział przyrodniczy, potem znów rok zagranicą. Dwa lata zaledwie spędził względnie szczęśliwie w Warszawie, gdzie przez ten czas zdołał rozwinąć tak ożywioną i różnostronną działalność, gdy znowu straszna choroba wygania go po zdrowie na obczyznę. Lecz ze słonecznej Mentony dusza młodego marzyciela rwała się „do północy, lubej północy", a na dwa miesiące przed śmiercią, w krótkiej kartce, wysłanej po przyjeździe do Zakopanego, skreślił on do nas te charakterystyczne dla siebie słowa: „Ogromniem kontent, żem cisnął południe i obczyznę — tu się inaczej oddycha". Nie przeczuwał, niestety, że oddychał już wtedy resztkami płuc poszarpanych, których mu wystarczyło zaledwie na powrót do rodzinnego miasta.

Kochał swą ziemię, ludzi i rośliny. Kwiat jego życia, chociaż podcięty tak nagle brutalną kosą śmierci, pozostawi ziarna trwałe nietylko w sercach najbliższych...

Wł. Bukowiński.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wiosna.

Wiosna jest nietylko powrotem ciepła, woni kwiatów, śpiewu ptaków, jest nietylko weselem natury, ale także jej dorocznym wykładem prawd, których ona ciągle człowieka uczy i o których on ciągle zapomina. Prawdy te dotyczą potęgi i niezniszczalności sił życia. Znalazłszy się zimą w lesie, doznajemy zawsze wrażenia śmierci. Pamiętamy, że to wrażenie odbijało się w nas dawniej, że ono było złudnem, że gdy wiosna zbudziła ze snu przyrodę, las okrywał się zielenią i znowu kipiał życiem. A jednakże patrząc na czarne, nagie, zlodowaciałe gałęzie, prawie nie możemy uwierzyć, że jakaś moc wskrzesi martwe drzewa, że te szkielety okryją się ciałem i zmartwychwstaną. Nawet sosny i świerki, których zima nie odarła z igieł, wydają nam się zabalsamowanymi trupami, które zachowały tylko pozór życia. Bo gdzież ono w nich jest? Gdzie się utaiło? Odrywamy korę, badamy tkanki — wszędzie mróz przeniknął, soki skrysztalił, ruch ich powstrzymał, korzenie przejął lodowatymi zębami. I te ofiary jego okrutnego mordu mają za kilka miesięcy rozwijać się w zdrowiu? Pod drzewami wygryzł, wytępił trawę doszczętnie — i ona się odrodzi, wyrośnie? Uwierzyć trudno. I oto nadchodzi wiosna, ogrzewa swem ciepłem tchnieniem ziemię, szepce do niej jakieś tajemnicze, dotąd przez nikogo niedosłyszane i niezrozumiałe słowa — i nagle życie wydobywa się ze wszystkich kryjówek, odzyskuje swoją moc, roztapia puklerz zimy, łamie okowy pozornej śmierci i dąży zwycięzkie do swych celów.

Państwo natury nie zamyka się w granicach pól, lasów, wód i nieskończonego przestworza; do jej bowiem dziedzin należy także ludzkość wraz z całą swoją kulturą. Kopernik nie mniej podlegał procesom przyrody, niż ciała niebieskie, który drogi badał. Więc też prawa rozwoju są równie niezłomne, a jego siły równie nie-

zniszczalne w obrębie tworów duchowych, jak fizycznych, a każda wiosna uczy nas nietylko wytrzymałości nasion i zarodów życia w obrębie drugich, ale i pierwszych. Poezya, wiedza, język, sztuka, ustroje społeczne — mają także swojo zimy, swoje pory, w których, zdaje się, zanikły ostatnie zalążki ich istoty, tymczasem one niespodziewanie odradzają się i rozrastają ze zdumiewającą bujnością.

Prawdopodobnie w całym skarbcu wiedzy naszej niema ani jednego pewnika, któryby nie był sądem mniej lub więcej powierzchownym. Najostrzejszy bowiem rozum może przeniknąć tylko dość cienką powłokę rzeczy, a nie dosięga nigdy ich rdzenia. W tem zaś niedotkniętem jądrze kryją się największe tajemnice i rozwiązania zagadek bytu. Dzięki temu właśnie, poprzestając na spostrzeżeniach zewnętrznych, uznajemy i ogłaszamy tak często śmierć tam, gdzie życie przyczaiło się przed naszym słabym wzrokiem. Spojrzmy z tej strony na przeszłość: ile w niej ludzie wykopali grobów, z których wyszli mniemani umarli. Przy największych wysiłkach poznania nie możemy ująć ciągu i łączności zjawisk: chwytamy tylko pojedyncze i oderwane ich ogniwa, których całkowity łańcuch jest dla nas zakrytym. Dlatego to wydaje nam się, że każde z nich jest czemś odrębnem, dlatego historya przedstawia się nam jako wielki cmentarz, którego mogiły czas ciągle zaoruje i ich ziemię obsiewa nowemi ziarnami. A gdy na niej wschodzi to, czego w nią nie wrzuciliśmy, gdy zaczynają kiełkować nasiona, wydobyte pługiem z głębi roli, gdzie przeleżały wiele lat, dziwimy się i nie umiemy sobie objaśnić ich pochodzenia. Bo wierzyliśmy, że dawno umarły.

W legendach jednego z wytępionych ludów amerykańskich znajduje się następująca opowieść. Kiedy już biali wyparli go na krawędź rodzinnej krainy, kiedy ostatnia garść niedobitków straciła nadzieję utrzymania się w walce i musiała uciec do okolic sąsiednich, wódz jej wyrwał z korzeniem pewną roślinę, służącą jego ziomkom za pokarm, i wziął z sobą jako pamiątkę po utraconej ojczyznie. W tułaczce nie rozstawał się z nią nigdy, a umierając, przekazał synowi z zaleceniem, ażeby ją starannie przechowywał. Tak drogą spadku przeszła ona przez kilka pokoleń, a wreszcie dostała się ostatniemu z wojowników zgładzonego ludu. Ale zawieszona na piersiach wielu jej posiadaczów, zeschła i zaczęła się już okruszać. Pewnego dnia ten ostatni potomek plemienia padł ugodzony kulą białego myśliwca. Sącząca się z rany jego krew spływała na spróchniałe korzonki pamiątkowego ziela, które w niej odżyły i osunąwszy się na ziemię, wrosły w nią, a wkrótce cały krzaczek odrodził się i rozmnożony zajął ogromne obszary.

Fantazya nie chodzi po ziemi, lecz unosi się ponad nią, zawsze jednak w kierunku jej dróg. I w tej więc legendzie wypowiada ona wielką prawdę nieśmiertelności życia.

Nie chcę bynajmniej twierdzić, że słysząc wołanie tonących o ratunek, powinniśmy z brzegu odzywać się do nich: bądźcie spokojni — wypłyniecie! Bo mogą nie wypłynąć. Nie chcę dowodzić, że wszystkie postacie żywego bytu są nieśmiertelne i zabezpieczone od zagłady. Owszem, giną one i giną ostatecznie. Ale nie tak często i nie tak szybko, jak nam zwykle się zdaje. We wszystkich społeczeństwach rozlegają się ustawiczne krzyki, wzywające pomocy dla instytucyj, stronnictw, przedsięwzięć, dla większych lub mniejszych skupin ludzkich, których istnienie jest potrzebnem, wartościowem, pożytecznem, a którym ma grozić śmierć. O ile krzyki te pobudzają energię i zaostrzają czujność — są bardzo pożądane; ale o ile sieją zwątpienie i rozpacz — są równie szkodliwe, jak niedorzeczne. Bo życie ani łatwo nie umiera, ani nie poddaje się zniszczeniu. Jest to potężna siła, która pozwala roślinom przetrwać najsroższą zimę lub suszę, a ludziom najoporniejsze przeciwności. Kiedyś odwiedziłem kogoś w szpitalu krakowskim. Obecny przytem lekarz rzekł do mnie: „Znajomy pański chociaż ciężko chory, wkrótce wyzdrowieje... Nie wierzysz pan? Proszę ze mną: pokażę panu bardzo wymowny dowód, z jakich to stanów ludzie wychodzą.“ Udałem się za nim do sąsiedniego pokoju, w którym na łóżku leżał... jeden strup. Że to był człowiek, wnosiłem z jego konturów; ale żadnego rysu szczegółowego rozpoznać nie mogłem. Z odrazą i przerażeniem widziałem nieruchomy kloc, z brunatno-siwą, kostropatą korą, zamiast skóry, w którym niepodobna było odnaleźć ani oczu, ani ust, tylko parę sęków i dwie gałęzie. — On żyje? — zapytałem. — I wyzdrowieje — odrzekł lekarz. Wyzdrowieje... Z jakiejże iskry rozpali się w tym nieszczęśliwym człowieku ogień życia? Gdzie ona się tli, kiedy wszystko w nim obumarło lub przegniło? Był to jakiś Węgier. Dowiadywałem się potem o niego: po dwu miesiącach opuścił szpital.

Zjawia on się zawsze w mojej pamięci, ile razy myślę nietylko o chorych jednostkach, ale o masach ludzkich. I nieraz przekonałem się, jak dalece błądzą ci, którzy przedwcześnie wydają lub ogłaszają wyroki śmierci. Życie to siła wrażliwa, wymagająca wielu przyjaznych warunków do swego rozwoju, ale gdy chodzi tylko o jej wytrzymałość, odporność, zdolność przechowywania się w drobnych zarodkach, nasionach, iskrach — wtedy dopiero wykazuje całą swoją potęgę. A nic nas lepiej o tem nie przekonywa, niż wiosna, ta błogosławiona pora, która rozprasza w duszach wątpienia, wyrywa rozpacze i szczepi w nich nadzieję.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

DZIEJOPISARSTWO POLSKIE W XIX W.

II.

Przechodzimy teraz do rozpatrzenia dziejopisarstwa naszego w okresie po śmierci Lelewela († 1861). Kierunek jego w tym czasie pozostał właściwie ten sam, co i dawniej, a pozwalamy sobie twierdzić to wbrew zdaniu odmiennemu, według którego nowa szkoła historyczna zapatruje się inaczej na zadania dziejopisarstwa, aniżeli historycy dawniejsi. Najwalniejszemi podstawami wyznania wiary, głoszonej przez nową szkołę, mają być następujące: 1) nie wolno posługiwać się historyą dla uzasadnienia jakiegokolwiek z góry ułożonego systemu; 2) żadne względy nie dozwalają prawdy dziejowej przekręcać; 3) podstawą sądu historycznego może i musi być gruntowna znajomość umiejętności społecznych i politycznych w najszerszem tego słowa znaczeniu. Nie inne zasady wyznawali, i dawniejsi badacze. Lelewel głosił, że „wszystko w historyi ma być opisywane w szczerej prawdzie, bezstronnie, wiernie i dokładnie, z unikniemiem wszelkich pozorów, mogących tę prawdę naruszać, osłabiać,“ że „uwagi jakiebądź, filozoficzne, polityczne, nauki moralne, nie są dopuszczone, bo najczęściej mogą się stać pobudką, a przynajmniej dadzą pisarza w podejrzenie, że on okoliczności opowiadania do swoich ponaciągał widoków.“ Nie inaczej zapatrywał się na pracę dziejopisarską ten największy nasz historyk, gdy wymagał od badacza dziejów, jak widzieliśmy, nietylko znajomości nauk polityczno-społecznych, ale i wykształcenia filozoficznego.

Kierunek naszego dziejopisarstwa w trzecim okresie uległby zmianie, gdyby historycy nasi zechcieli czy też mogli głębiej zbadać nowe prądy, które powstały pod wpływem przyrodoznawstwa w dziedzinie nauk społecznych na Zachodzie. Jeżeli poglądy Buckle'a, którego dzieło cieszyło się w naszem społeczeństwie wielkim rozgłosem, wywarły pewien wpływ, tak iż niektórzy z historyków naszych zaczęli uznawać istnienie praw, „którym ludzkość w życiu swojem i rozwoju podlega“ (Bobrzyński), jednakże owe poglądy kierunku badań historycznych u nas nie zmieniły.

Najwybitniejsi przedstawiciele tej t. zw. nowej szkoły myśl o prawidłowości ewolucyi dziejowej odrzucili, Szujski nazwał nawet poglądy Buckle'a „kolosalnem głupstwem.“ Smolka upatruje zadanie historyi w kreśleniu obrazu danej epoki i w opowiadaniu najcharakterystyczniejszych wydarzeń, odróżniających jedną fazę w rozwoju ludzkości od drugiej i zrzeka się — w imieniu „cechu“ historyków — poszukiwania praw, według których następują po sobie owe fazy. Inni nasi znakomici badacze, jak np. Pawiński, Korzon, Smoleński, do takiej abdykacyi nie posuwali się, nie przeczyli istnieniu praw, rządzących życiem ludzkiem, ale badaniom historycznym nowych celów nie wskazali, i pracowali po dawnemu, przeprowadzając tylko swe badania z większą skrzętnością i ścisłością. Jednakże dziejopisarstwo nasze w trzecim okresie uczyniło postępy olbrzymie, historycy tego okresu położyli zasługi niepożyte. Wydano mnóstwo materyałów historycznych, zbadano opisano monograficznie poszczególne okresy, momenty i postaci w naszej przeszłości dziejowej, poruszono i rozwiązano mnóstwo zagadnień. Wojciechowski, Bobrzyński, Piekosiński, Smolka i Balzer zastanawiali się nad kwestyą powstania państwa, i społeczeństwa polskiego, i chociaż jej nie rozstrzygnęli ostatecznie, niemało światła na zagadnienie to rzucili. Dzięki pracom Wojciechowskiego, Potkańskiego, Brücknera i Maleckiego, zaczęliśmy lepiej i prawdziwiej rozumieć t. zw. bajeczne dzieje. Z dziełem Piekosińskiego: „Rycerstwo polskie wieków średnich,“ badacze długo jeszcze będą musieli się liczyć, aczkolwiek zawiera ono w sobie sporo poglądów bałamutnych, albo i niedorzecznych nawet. Smolka w dziele swojem: „Mieszko Stary i wiek jego,“ roztoczył przed nami obraz upadku pierwotnej monarchii polskiej i stopniowego przekształcania się Polski w państwo z przewagą stanu możnowładczego. Abraham skreślił organizacyę kościoła w Polsce pierwotnej do połowy XII wieku. Hube opisał urządzenia prawa w XIII i XIV w. („Prawo polskie w XIII w.“ i „Prawo polskie w XIV w.“). Balzer poruszył i rozstrzygnął cały szereg pytań z dziedziny stosunków prawnych pomiędzy książętami dzielnicowymi („O następstwie tronu w Polsce“) i ustalił z dokładną prawie zawsze ścisłością stosunki genealogiczne pomiędzy Piastami, w dziele, dokonanem z iście benedyktyńską pracowitością i wytrwałości („Genealogia Piastów“). Helcel zbadał ustawodawstwo Kazimierza W. („Starodawne prawa polskiego pomniki“).

Dla uczczenia pięciowiekowej rocznicy odnowienia uniwersytetu krakowskiego, założonego przez wielkiego prawodawcę, napisano dzieło, poświęcone dziejom najwyższych instytucyj naukowych w naszym kraju, mianowicie: Józ. Bielińskiego „Uniwersytet wileński,“ Jabłonowskiego „Akademia kijowsko-mohilańska,“ J. K. Kochanowskiego „Dzieje Akademii Zamojskiej,“ Morawskiego „Historya uniwersytetu Jagiellońskiego.“

A. Pawiński przedstawił nam genezę i rozwój ustroju Rzeczypospolitej szlacheckiej. w dziele „Sejmiki ziemskie,“ a rozkład jej organizacyi w dziele „Rządy sejmikowe.“ Rembowski dał nam obraz ustroju stanowego tej Rzeczypospolitej („Rokosz i konfederacya.“) Do dziejów reformacyi odnoszą się prace W. Zakrzewskiego „Powstanie i wzrost reformacyi w Polsce,“ T. Wierzbowskiego „Jakób Uchański, arcybiskup gnieźnieński.“ Historyę pierwszego bezkrólewia opowiedział T. Piliński („Bezkrólewie po Zygmuncie Auguście“), drugiego — W. Zakrzewski („Po ucieczce Henryka“). Pawiński opracowywał dzieje panowania Stefana Batorego i pomiędzy innemi napisał znakomite dzieło „Skarbowość w Polsce i dzieje jej za Stefana Batorego.“ Dziejom wieku XVII pracę swoją poświęcali Kubala („Jerzy Ossoliński“ i „Szkice historyczne“), W. Czermak („Plany wojny tureckiej Władysława IV i Jerzy Lubomirski“), Ant. Walewski („Historya wyzwolenia Polski za panowania Jana Kazimierza“ i „Historya wyzwolonej Rzeczypospolitej.“), T. Korzon („Dola i niedola Jana Sobieskiego“). K. Jarochowski w licznych monografiach badał panowanie Augusta II („Dzieje panowania Augusta II od wstąpienia Karola XII na ziemię polską“, „Opowiadania i studya historyczne,“ „Z czasów saskich.“)

Kwestya upadku Rzeczypospolitej najbardziej przykuwała uwagę badaczów naszych: ona też podzieliła ich na obozy pewne. Mówi się zwykle o szkołach historycznych Naruszewicza, Lelewela i nowszej. Najważniejszą różnicą pomiędzy temi szkołami są właśnie przyczyny, które zgubiły Rzeczpospolitą. Naruszewicz, żyjąc na schyłku XVIII w., w epoce reform, któremi usiłowano uratować państwo od zagłady, w epoce, kiedy starano się na gwałt zbudować władzę państwową w kraju politycznie rozprzężonym, uległ prądom politycznym, które podówczas panowały w społeczeństwie i uznał za najważniejszą przyczynę upadku ojczyzny brak silnej władzy królewskiej, utożsamiając królewskość z władzą państwową. Lelewel był republikaninem i demokratą i z pod wpływu zasad republikańsko-demokratycznych nie mógł się wyzwolić w swych zapatrywaniach na przeszłość dziejową, chociaż wymagał od historyka zupełnej bezstronności. To też przyszedł do wniosku, że Polskę zgubiło odstępstwo od podstaw demokratycznych, na których spoczywał jej ustrój pierwotny.

Po r. 1863 wytworzyło się lub raczej wzmocniło w naszem społeczeństwie stronnictwo polityczne zachowawcze noszące w Galicyi nazwę stronnictwa stańczyków. Poglądy ich odbiły się potężnie w dziejopisarstwie polskiem. Według tych poglądów Polacy winni sami swego upadku, Polska upadła pod ciężarem własnych grzechów, przedewszystkiem pod ciężarem bezrządu. Najwybitniejszymi przedstawicielami tego odłamu naszych historyków są: Józef Szujski, W. Kalinka i M. Bobrzyński. Pierwszy ułożył kompletne dzieje Rzeczypospolitej w dwóch dziełach: czterotomowem „Dzieje Polski“ i podręcznej książce „Historyi polskiej treściwie opowiedzianej ksiąg XII.“ Z pierwszego dzieła mają wartość naukową tylko 2 ostatnie tomy; drugie podaje wyniki, do których doszło dziejopisarstwo polskie za czasów Szujskiego, w zabarwieniu, ma się rozumieć tych zasad polityczno-społecznych, które Szujski, jako stańczyk, wyznawał.

Kalinka pozostawił dwa ważne dzieła: „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta“ i „Sejm czteroletni.“ Jako ksiądz, przytem mnich, należący do zakonu Zmartwychwstańców, spogląda on na wypadki dziejowe często z punktu widzenia teologicznego i lubi tonem moralizatora-kaznodziei wytykać pokoleniom minionym przedewszystkiem błędy moralne i wyciągać z faktów historycznych nauczki stosowne dla ludzi żyjących.

Dzieło Bobrzyńskiego: „Dzieje Polski w zarysie,“ narobiło u nas w swoim czasie wiele hałasu z powodu ryzykownych poglądów na przeszłość. Zakładając protest przeciwko wtłaczaniu historyi w formułki polityczno-społeczne, z góry ułożone, Bobrzyński wtłoczył ją sam w formułkę: rząd w jakiejkolwiekbądź formie, byle tylko silny, sprężysty, jest zbawieniem dla ludzkości. Jako stańczyk, Bobrzyński jest katolikiem, liberalniejszym jednakże od Szujskiego.

W Galicyi ster rządów trzymają stańczycy, przewaga ta wywiera wpływ znaczny i na stan wiedzy, zwłaszcza na stan nauk społecznych, których kierunek warunkują zwykle prądy umysłowe, nurtujące społeczeństwo w pewnej chwili dziejowej. Dziejopisarstwo prądom tym podlega może bardziej, niż każda inna umiejętność polityczno-społeczna. To też słusznie historyk naszego dziejopisarstwa, Wł. Smoleński, wyodrębnia pewną grupę naszych historyków, stanowiących t. zw. szkołę krakowską. Samą nazwę można uważać za nieodpowiednią, gdyż siły tych badaczów nie są wyłącznie skupione w Krakowie; nie ulega atoli wątpliwości, że niektórych historyków współczesnych łączą pomiędzy sobą pewne wspólne cechy, przedewszystkiem jednakowe zapatrywania na upadek Rzeczypospolitej, jako skutek t. zw. nierządu. Są wszakże badacze, stojący po za obrębem tego „cechu“ historycznego, którzy w swych sądach pozostają niezależnymi i samodzielnymi. Najznakomitszymi z nich, jak i wogóle pomiędzy historykami polskimi, są: T. Korzon i Wł. Smoleński. Dzieło pierwszego, „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta,“ posiada, zdaniem naszem, wartość epokowego znaczenia. Smoleński ze ścisłością szczególową badacza objektywnego nakreślił obraz nowego odrodzenia umysłowego jeszcze w połowie XVIII w. („Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII“).

Wymieniliśmy nie wszystkich naszych historyków, wskazaliśmy nie wszystkie wybitne dzieła historyczne, bo na to nie może być miejsca w szkicu pobieżnym, podobnym niniejszemu. Jeżeli przytaczaliśmy nazwiska i nazwy, to raczej sposobem przykładu, aby zaznaczyć, że każda epoka w dziejach naszych posiada dzielnych badaczów i że na pracownikach dziejopisarstwu naszemu nie zbywa. Najsłabiej zbadano rozwój ekonomiczny naszego narodu. Nie interesują się też nasi historycy kwestyami historyozoficznemi i teoryą historyi, co wyrządza niemałą szkodę naszemu dziejopisarstwu, gdyż pozbawia sądy, wydawane o naszej przeszłości dziejowej, tej głębokości i zasadności, jakie posiadają uogólnienia naukowe, oparte na znajomości podstaw bytu i poznania ludzkiego.

Witold Nowodworski.

ODCZYTY.

P. Ostroróg-Sadowski. *Imię i nazwisko w świetle historyi i prawa.*

Do odczytu prelegent wprowadził dwa wyrażenia, a mianowicie: „mało pomału“ zamiast „stopniowo“ i „wymysł“ zamiast „fałsz,“ „zmyślenie.“

W dzisiejszych czasach przydałby się podręcznik prawny, zawierający artykuły niezbędne do oryentowania się w sprawach stanu cywilnego. Kto jednak decyduje się oświetlać imię i nazwisko ze stanowiska historyka, ma obowiązek, ucząc nawet maluczkich, znać dokładnie rozwój historyczny tego instytutu prawnego.

Nie wzmaganie się kontroli państwowej wpływało na wyrobienie imienia i nazwiska, lecz gospodarka społeczna w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu. Kontrola państwowa obwołuje spisy ludności i notuje imiona i nazwiska już przez gospodarkę zróżnicowane. Jeżeli ma owa kontrola wpływ na indywidualizacyę imienia i nazwiska, to zaledwie pomocniczy. Prelegent wreszcie nawet kontroli państwowej historycznie zupełnie nie przeprowadził, zadawalając się ustawicznie wyrażeniem: tego wymagał lub wymaga porządek społeczny. Możnaby w ten sposób dowieść, że porządek społeczny wymagał, ażeby został wygłoszony odczyt prelegenta. Żadnemu popularyzatorowi nie wolno tak skakać po dziejach, jak to robi prelegent. „Rzymowi nie sądzonem było rozwinąć imię i nazwisko jednostki: dopiero rewolucya francuska to uczyniła.“ Ależ prelegent zupełnie pomija fakt, że życie rzymskie rozwinęło właśnie stan cywilny, na którego tle Napoleon I na posiedzeniach prawodawczych snuł swoje utopie obywatelskie o Francuzach całego świata. To, co się tak Napoleonowi I podobało, powinno było znaleźć więcej miejsca w odczycie.

Wśród zaznaczonej nędzy bibliograficznej, otaczającej doniosły pod względem cywilizacyjnym temat prelegenta, przeoczył on zupełnie prace Piekosińskiego, gdzie znalazłby całe szeregi imion chłopskich z epoki Piastów, nie uwzględnił prac Karłowicza, oraz wydawnictwa „Teki A. Pawińskiego,“ gdzie w księdze skarbowej króla Aleksandra spotkałby mnóstwo imion i nazwisk. Prelegent narzeka na to, że nikt jeszcze nie napisał rozprawy o imieniu i nazwisku. Tak jest, nikt nie napisał i nikt, o ile się zdaje, na brak jej nie narzekał.

Nareszcie prelegent nie posiada zupełnie środków technicznych do popularyzowania wiedzy; czyta zbyt prędko i niewyraźnie.

Gustaw Lewy: *Kobieta w prawie cywilnem.*

Prelegent na dwóch posiedzeniach publicznych bronił bardzo szlachetnej sprawy w sposób zajmujący. Umie mówić i ma o czem, a że jest publicystą, przynajmniej w odczycie, więc niepotrzebnie zbyt często odsuwał od siebie fotel uczonego, którego mu nikt nie zamierzał przysuwać. Słuchacze odrazu odczuli mówcę, który chce na ich przekonania wpłynąć. Ponieważ wyzwolenie kobiety jest rzeczą bezwzględnie sympatyczną, więc odczyt łatwo do przekonania trafił, przynajmniej robił widoczne wrażenie.

Z tego też względu wykłady popularne podzielilibyśmy na dwie kategorye. Za sprawdzian uważam w tym razie skalę wymagań naukowych. Gdy mi ktoś przez godzinę wykłada o drukarniach w Polsce, czyli porusza temat, który moich przekonań nie dotyczy, wówczas wrażenia moje sprawdzam ilością otrzymanej wiedzy. Jeżeli jednak z katedry snuje się temat żywotny, współczesny, wówczas słuchacz mimowoli zwalnia mówcę od koturnów naukowych, ufny w dobre źródło jego intencyi. Innemi słowy: w historyi literatury nie wolno przepuścić żadnego arcydzieła, ale wolno zawsze zatrzymać się tylko na jednem, jeżeli przez to wzniecimy w słuchaczu zajęcie dla całej literatury.

Prelegent zdołał przychylnie usposobić słuchaczów dla kwestyi kobiecej. Użył jednak w tym celu nie zawsze praktycznych środków. Przedewszystkiem zaprowadził nas na zgliszcza zastygłe — do kodeksów cywilnych. Tylko publicysta jest w stanie z tych pobojowisk kultury przemawiać w imię postępu, gdyż uczony mimowoli przedzierzga się w komentatora. Prelegent odrazu nie wytrzymał tej roli. Zrobił on zastrzeżenie, że usuwa z pod rozwagi stronę publiczną kwestyi prawnej, poprzestając na prywatnej. Zapomniał jednak o tem, że wszelkie prawo cywilne ziszcza się drogą egzekucyjną i tu tkwi jego publiczny charakter. To też z największem powodzeniem przytaczał on te właśnie momenty ze stosunków prywatnych między małżonkami, gdy mąż w osobie państwa egzekwuje na ulicy swe prawo cywilnej przewagi.

Niesłusznie, co za tem idzie, obwołał potęgę sentencyj motywów prawodawczych. Nauka

współczesna z ostrożnością traktuje to referaty posiedzeń prawodawczych, a nikt nie nazwał ich nigdy mądrością narodu.

Prof. Kowalewski w prawodawstwie rosyjskiem dopatrzył się słusznie oczywistej niekonsekwencyi motywów w zestawieniu redakcyi z epoki Piotra Wielkiego, gdy prawo pozwoliło bronić się przed mężem osobiście i pod względem majątkowym i redakcyi „Swodu," gdzie znajdujemy artykuł wymagający, „ażeby żona pozostawała bezgranicznie posłuszną mężowi."

Przytoczę jeszcze jeden dowód płonności motywów i redakcyi w przedmiocie kulturalnej doniosłości prawodawstw. Prelegent uważa naród angielski za najwolniejszy na świecie. Pozwolę sobie przypomnieć, że „Magna charta libertatum" (1215) nakazuje wdowie, ażeby dała królowi lub panu zapewnienie (servitas), że zamąż bez ich zgody nie wyjdzie, i że w Polsce już przed rokiem 1232 Konrad książę mazowiecki za radą swych baronów zniósł „wdowicze," podatek podobny do angielskiego „servitas."

Lecz ze szczególną siłą ujawnia się publicystyczna dowolność prelegenta w traktowaniu pruskiego prawa o małżeństwie. „Prusak—woła p. L. — z całym cynizmem orzekł, że celem małżeństwa jest płodzenie dzieci." Ależ i nasza ustawa 36 roku wymaga tak zwanego „matrimonium consumatum," a artykuł 22-gi najwyraźniej stanowi zdolność fizyczną małżonków. Otóż ze stanowiska nauki prawa redakcya artykułu sama przez się nie hańbi ani społeczeństwa pruskiego, ani nie stawia na wyjątkowym piedestale prawodawstwa naszego.

Zupełnie sztucznie wsunął prelegent jaskrawy szlak „fragilitas sexus," czyli ułomność, niższość płci, jako argument w kwestyi ograniczeń kobiety. W Rzymie powstało owo „fragilitas sexus" jednocześnie ze zniesieniem zadatku przy zaręczynach, jako rzeczy niemoralnej, oraz w epoce, gdy prawo rzymskie dla ważności małżeństwa nie wymagało „matrimonium consumatum." To też motyw prawodawczy „fragilitas sexus" nie plami tak dalece prawodawców rzymskich, jak zaręcza prelegent.

Wogóle jednak rozwiązał on pomyślnie nader trudne zadanie, które sobie postawił, a którem się odgrodził od życia publicznego, zaznaczywszy w tytule odczytu swe stanowisko cywilisty.

Tadeusz Ulanowski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Zygmunt Gloger: *Rok polski w życiu, tradycyi i pieśni*, z czterdziestu rycinami. Warszawa. Jan Fiszer. Str. 386.

„Z dniem każdym— czytamy w przedmowie do wyszczególnionego w nagłówku wydawnictwa — świat stary schodzi do grobu. Co żyło i uświęcone było przez liczne wieki, idzie zwolna w zapomnienie, bo dzień dzisiejszy ma przedewszystkiem twardą pracę na dłoni zamulonej, rachunek w głowie i na sercu troskę o chleb." Pod hasłem tedy wydarcia zapomnieniu choć cząstki tego, „co żyło i uświęcone było przez liczne wieki," p. Zygmunt Gloger przystąpił do ułożenia pewnego rodzaju księgi pamiątek, na którą złożyły się w porządku pór roku, od zimy poczynając, opisy dorocznych świąt i uroczystości oraz związanych z niemi zabaw staroszlacheckich i ludowych, a dalej opisy zajęć gospodarskich, obrzędów, zwyczajów, obyczajów, rozrywek, które zachowane zostały w dawnych pamiętnikach i wspomnieniach lub nawet dotrwały tradycyjnie do naszych czasów.

Znaczną część zgromadzonego materyału opracował mniej lub więcej samodzielnie sam autor. Z licznych jego artykułów zasługuje tu zwłaszcza na uwagę umieszczony przy końcu książki obszerny opis „Godów weselnych" u ludu. Niezależnie od tego autor korzystał obficie z prac cudzych, dając między innemi urywki z „Opisu obyczajów" ks. Andrzeja Kitowicza, z „Ekonomiki ziemiańskiej" Jakóba Kazimierza Haura, z pism Lucyana Siemieńskiego, Wacława Aleksandra Maciejowskiego, Deotymy, Orzeszkowej, Pługa i w. in. i przytaczając wyjątki z wielu dawnych i nowych utworów poetyckich różnych pisarzy od Jana Kochanowskiego aż do Glińskiego, Or-ota i innych współczesnych.

W chwili, gdy fala nowego życia zatapia u nas bezpowrotnie przeżytki dawnego świata, wydawnictwa w rodzaju „Roku polskiego" mają niewątpliwie racyę bytu i przez pewne zwłaszcza sfery, zakochane w tradycyi i wspomnieniach przeszłości, będą powitane mile. Lecz w takich właśnie dziełach o charakterze przeważnie kompilacyjnym należałoby dbać bardzo o odpowiedni dobór treści, nie przeciążając książki rzeczami bez wartości z pominięciem utworów istotnie pięknych, któreby się tu znaleźć powinny. Książka p. Glogera pod tym względem pozostawia sporo do życzenia.

Jeżeli słusznie znalazły się w niej wyjątki z ciekawego istotnie utworu Władysława Jeżowskiego (pierwsza połowa XVII wieku) p. t. „Porządek zabaw ziemiańskich według czterech części roku," to niezrozumiałem jest za to dziwne zamiłowanie autora do nudnych, ciężkich, pozbawionych wartości poetyckiej „rytmów" Kaspra Miaskowskiego, z którego jednak przytacza on aż ośmiokrotnie dłuższe lub krótsze urywki. Wogóle zebrane w dziele utwory poetyckie stanowią nierówną mieszaninę, gdzie obok rzeczy rzewnych, zajmujących i ładnych, w rodzaju „Z opłatkiem" Kajetana Kraszewskiego, utworów Pola, Syrokomli, Lenartowicza, Asnyka i innych, spotykamy pewną ilość wierszy bezbarwnych i bezwartościowych, nie wiadomo po co przedrukowanych, gdy z drugiej strony brak takich, które czytelnik pragnąłby właśnie znaleźć w podobnem wydawnictwie. Dość zaznaczyć np., że autor, przytaczając z literatury XIX wieku cały szereg sonetów i tercyn pod takimi podniosłymi tytułami, jak „Kiełbasa," „Mazurek wielkanocny," „Baba" itp., nie uznał za stosowne dać ani jednego z prześlicznych utworów wiosennych Maryi Konopnickiej („Zmartwychwstanie" np.), że wogóle znakomitą poetkę pominął zupełnie, choć taki np. jej poemacik, jak „Gra w zielone," mógłby należeć do prawdziwych ozdób książki. Skądinąd przy opisie zajęć ziemiańskich w dawnej Polsce należało może zaczerpnąć coś i ze starego Reja, którego „Żywot człowieka poczciwego" jest jednem z najciekawszych źródeł do poznania obyczajów szlachty naszej w wieku XVI.

Dzieło p. Glogera, wydane bardzo starannie pod względem typograficznym, ozdobione jest czterdziestoma ilustracyami, wśród których przeszło połowę stanowią rysunki Andriollego. Ta strona książki nie pozostawia nic do życzenia, gdyż Andriolli, nie zawsze szczęśliwy jako ilustrator naszych poetów, był mistrzem w tworzeniu zamaszystych scen z życia ludu i dworu wiejskiego, o czem w „Roku polskim" świadczą chociażby takie rysunki, jak „Zabijanie grajka," „Kłopoty wielkanocne," „Święcone," „Wicie wianków na Boże Ciało" i inne. Z prac młodszych rysowników zasługuje na wyróżnienie ładna scena „Przy kominku" p. Jana Holewińskiego.

Wł. B.

ZE SZTUKI.

„Bitwa pod piramidami." — Wystawy w redakcyi *Chimery*.

„Pódź szyki w pięć kwadratów sprawił ku potrzebie i niby pięć gwiazd jasnych na pustynie rzucił. Mnie świecącemu w jednej widać było cztery." I nam, gdy stoimy na balkonie panoramy, widne są tylko cztery czworoboki piersi i bagnetów, o które rozbija się fala Mameluków. Wściekła to fala i wściekły ma rozpęd. Wprost na nas wali kupa, zrywając konie, otulając się chmurą dymów, śród której powiewają buńczuki i zapalają się płomieniem ostrza włóczni. Jest w tym rozpędzie dużo siły, dużo ruchu i fantazyi, lecz ta siła milczy. Z wykrzywionych twarzy wojowników, z ogniem dyszących piersi nie wybiega ku nam żaden głos. A przecież w dniu tym, dniu znojnym i bojowym z pod stóp piramid bił w niebo krzyk ogromny, huk dział, jęk bolesny, aż drżeć musiały w swych grobach odwiecznych senne mumie faraonów. I tu mimowoli staje nam przed oczyma inny obraz. Na wzgórku, otoczony tłumem generałów i marszałków stoi cesarz, a u stóp jego przelatuje wichrem pułk kirasyerów. Idą do szarży. A z obrazu huczy na tysiące głosów rozłamany grom: Vive l'empereur! („1807" Meissonniera).

Na lewo, na pierwszym niemal planie, widzimy szeregi piechoty francuskiej. Środek kwadratu zajmują „osły i uczeni." Pod względem plastyki i wyrazu grupa ta należy do najlepszych w obrazie. Tu sięześrodkowywa dla widza najwyższy moment akcyi, lecz brak temu momentowi grozy. Wściekłego zamętu, ognia piekielnego, najwyższego napięcia siły i dramatu próżno byśmy tu szukali. Odbieramy wrażenie, jak gdyby przed oczyma naszemi odbywała się zaledwie utarczka luźnej wataby beduinów z oddziałem wojsk rzeczypospolitej. Nie czujemy tu wielkiej bitwy, która ma wydać w ręce małego kaprala ogromną krainę życiodajnego Nilu i śniących o czterdziestu wiekach piramid. Dalsze czworoboki widzimy tylko, jako plamy barwne, przesłonięte chmurami dymów. Całą połowę panoramy — od końca czworoboku do owej kupy, która zda się atakować te kadry, gdzie się znajduje widz, zajmują luźno sceny i mury piramid. Za tło obrazu służą piaski pustyni, okolone na horyzoncie palmowymi gajami, niewyraźną linią Nilu, murami wioski i olbrzymami kamiennymi. Ponad wszystkiem wisi niebo, po którem włóczą się białe płachty obłoków.

Panorama, jako całość, nie wywiera wrażenia, odpowiedniego do wielkości tematu. Podobna jest ona do dość słabego dramatu. Akcya wlecze się z początku powoli, wreszcie tempo jej się przyspiesza, trzeci akt — punkt kulminacyjny, w którym oczekujemy maximum napięcia dramatycznego, przynosi zawód, i oto wątek rozsnuwa się ku koncowi bez żadnego porywającego wypadku. Natomiast szczegóły mamy tu doskonałe. Przedewszystkiem konie żyją. Każdy z nich ma swój wyraz, swój charakter. Oto na przedzie stoi jeden widocznie ciężko ranny, opuszczony przez jeźdźca. Pochylił głowę, zgiął kolana, zda się, że za chwilę legnie. A oto znów siwy mknie po piaskach z rozwianą grzywą i puszczonym na wiatr ogonem, goniony przez dwu żołnierzy francuskich. Pyszny koń i pyszna, pełna życia scena. Doskonałe są również niektóre postacie jeźdźców. Jaki np. majestat bije od osoby tego szeika w zielonym stroju i z białym zawojem na głowie, wiodącego w bój swoje zastępy! „Ałłach, Akbar Ałłach jesteś wielki!" zdają się szeptać usta starego beduina, który ucieka z pola bitwy na małym osiołku

w towarzystwie resztek swego haremu. Podobnych szczegółów moglibyśmy przytoczyć więcej; szkoda tylko, że nie składają się one na również doskonałą całość.

A teraz słów kilka o pejzażu. Ma on jedną wadę zasadniczą. Z piasków pustyni i z błękitów niebios nie płynie ku nam żar południa, a powietrze „nie gra w oku, nad katafalkiem niby od gromnic płomyki.“ I piaski i błękity są zimne. Zwłaszcza niebo, ciężkie, jednostajne w swym intensywnie niebieskim kolorze, bezpowietrzne, nuży i przygniata. Obłoki na niem, szczególnie od strony piramid, robią wrażenie wielkich kłębów waty. Nagół biorąc, ta połowa krajobrazu, która służy za tło samej akcyi, lepsza jest, niż druga. Dobre są w tej drugiej połowie piramidy, wioska zaś, zwłaszcza na krańcach, spowita w jakieś niepojęte fiolety, jest słaba. Fałszywy teren ułożony jest bez zarzutu.

Pomimo wszelkich braków nie da się zaprzeczyć, że „Bitwa pod piramidami“ jest dziełem wielkiej umiejętności i znacznego artyzmu. Twórcami jej są: Wojciech Kossak (malował przeważnie figury i konie), Rozwadowski, Pułaski, Wywiórski i Ryszkiewicz. Dwaj ostatni opracowali pejzaż.

* * *

Redakcya *Chimery*, mając na celu uprzystępnienie sztuki jej wielbicielom, zapowiada 35 wystaw specyalnych w lokalu własnym. Są one bezpłatne. Wstęp wolny mają prenumeratorowie i osoby zaproszone. Zaproszenia mogą być odstępowane osobom znajomym i interesującym się sztuką. Pierwszą wystawę otwarto d. 31 marca. Obejmuje ona najcelniejsze reprodukcye t. ż. *facsimile* ze sztychów i rysunków Dürera. Odwiedzający mogą korzystać z książek i albumów, poświęconych Dürerowi, oraz z objaśnień pp. Przesmyckiego i Feliksa Jasieńskiego. Niewyczerpane zbiory ostatniego są przeważnem źródłem tych kolekcyj. Każda wystawa ma charakteryzować działalność poszczególnych twórców lub też osobny dział sztuki, jak np. ornamentykę, pejzaż, portret lub też rodzaje oddzielne, jak sztycharstwo, rysunek, akwaforty itp. Co dwa tygodnie następować ma zmiana kolekcyi. U nas, gdzie studyowanie sztuki, ze względu na brak muzeów i zbiorów odpowiednich, jest połączone z wielkim trudem, pedagogiczne znaczenie wystaw podobnych jest ogromne. Zachodzi tylko jedna obawa. Publiczność nasza tak dalece jest nieprzyzwyczajona do obchodzenia się z dziełami sztuki i do szanowania cudzej własności, że z albumów i sztychów, które dostają się w jej ręce, bardzo szybko pozostają strzępy. Bodajby ten wandalizm nie zniechęcił twórców tych bardzo pożytecznych wystaw.

Michał Mutermilch.

POEZYE

W zachodzie.

Oto jesteśmy jako zbożny łan,
Co, aż ku ziemi swoje kłosy gnie.
W wieczornym wietrze chadza po nim Pan,
Pali się tęczą w każdej rośnej łzie,
A gdy przed Panem drżą złociste kłosy,
To ziemia pije ową tęczę z rosy. —
Oto jesteśmy jako zbożny łan,
Pełen rozmodleń barwnych i drżeń,
Kwieciem kąkolu i ostróżki tkan,
Świerszczmi dzwoniący cały długi dzień...
Oto jesteśmy takim zbożnym łanem,
Co w ziemię rzuca łzy płonące Panem.

Bronisława Ostrowska (Mierz).

SPRAWY EKONOMICZNE

DOLA I NIEDOLA LUDNOŚCI WIEJSKIEJ.

Służba dworska w pow. Płońskim.

II.

Jedna rodzina parobka dworskiego otrzymuje średnio pod kartofle lub kapustę 2¼ zagona. Najczęściej w Płońskiem parobek z „posyłką“ otrzymuje 18 zagonów, z tych 15 przeznaczonych na kartofle, 2 na len, 1 na kapustę; w Płockiem zaś pod kartofle dostaje mały mórg, tj. 20 zagonów, pod len 2, pod kapustę 1 zagon. Parobek bez posyłki zwykle dostaje 15—16 zagonów. W moich notatkach zaznaczyłem, że 30 parobków dostało po 18 zagonów, 16 po 21, 12 po 23, 9 po 16, 5 po 15. Dwór jest obowiązany dawaną ziemię wygnoić i uprawić, a żona parobka zasadzi lub zasieje ją swojem ziarnem. Niektóre dwory po uprawieniu jakiegoś działu pod okopowe każą służbie wybierać, gdzie chcą brać pod kartofle, byleby tylko wszyscy od jednego brzega; na niektóre folwarki znów służba się skarży, że jej dają zawsze pola najgorsze. Średnio z owych zagonów każda rodzina otrzymywała po odtrąceniu zasiewu prawie po 23 korce kartofli. Wahania jednak co do urodzaju kartofli z roku na rok bywają bardzo wielkie, czasami ten sam obszar pola daje np. 40, a czasami 8 korcy lub nawet mniej, a jakkolwiek kartofle co do zawartości części pożywnych w szeregu innych produktów rolnych stoją bardzo nisko *), to jednak brak jakichś 12, a czasami i 20 korcy zbyt silnie odbija się na budżecie służącego, tem bardziej, że obierki, zepsute i drobne kartofle pozwalają żonie parobka dawać lepsze picie krowie, więcej pożywienia kurom, a przedewszystkiem świniom, z których rodzina służącego ciągnie stały a dosyć znaczny dochód. Ci obywatele, którzy rozumieją, że służący wobec małych dochodów nic prawie nie może ryzykować, że pracować dobrze może tylko ten, co spożywa chociaż niezbędną ilość pokarmu, pod wpływem powyższych okoliczności zaczęli zamiast zagonów dawać kartofle, zwykle około 30 korcy rocznie; pod len, kapustę i pod kartofle spożywane „na podbierkę“ przed kopaniem, dodają zwykle 2—3 zagonów. W niektórych dworach za tę wygodę kobieta obowiązana jest odrobić 2 dni sadzeniem i 10 kopaniem kartofli. Nowość ta, zaznaczona przeze mnie w 6 wypadkach, była rozmaicie przyjęta przez służbę; w tych majątkach, gdzie kartofle wogóle się nie rodzą, chłopi przyjęli ją chętnie, ale dwory nieco do niej się zrażają, w innych znów majątkach, gdzie średni urodzaj kartofli parobków wynosi 26—50 korcy, nie chcą się na nią zgodzić parobcy. Zdaje mi się jednak, że powoli nowość ta dawny zwyczaj przemoże. Wyżej przytoczona ilość zagonów, dawanych przez dwór parobkom, nie wystarcza; dobierają oni też często, bo w 37 wypadkach, zagony od dworu (w ogólnej ilości 144), za które później odrabiają ich żony zwykle po 2 dni (za 1 zagon) w żniwa. Otrzymywana z zagonów ilość kartofli także nie wystarcza, gdyż 36 rodzin dokupiło w ogólnej sumie 212 korcy kartofli, które służba bierze tak jak i zboże ze swego dworu. I tu muszę zanotować, że podczas nieurodzaju niektóre dwory dodają parobkom nieraz po 5 korcy kartofli. Jeżeli przypuścimy, że 191 korcy (bo 4 rodziny parobków sprzedały 21 korcy) kartofli mogłoby urodzić się na 172 zagonach, co ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa, to okaże się, że 110 rodzin służby otrzymało o 316 zagonów za mało, tj. prawie o 3 zagony na 1 parobka, czyli że co do ilości gatunku należałoby zachowywać co najmniej zwyczaj przyjęty w Płockiem, tj. dawać od 23—24 zagonów dla rodziny.

Oprócz kartofli na otrzymywanych od dworu zagonach, parobcy sieją (nie wszyscy) len i sadzą kapustę. Co do ilości lnu, trudno zebrać dokładne wiadomości; mogę tylko powiedzieć, że zwykle ze lnu robią płótno na koszule, prześcieradła, płachty, ręczniki, worki itp., które czasami, wprawdzie bardzo rzadko, nawet sprzedają; zwykle jednak zużywają je na własną potrzebę, a z siemienia lnianego wyrabiają olej, ci zaś, co oleju nie lubią — czasami sprzedają nieco owego siemienia. Na 110 rodzin zanotowałem to wszakże tylko w jednym wypadku. Płótna wyrabiają ze lnu również nie zawsze jednakowo, czasami 25, a czasami i 58 łokci. Niektóre kobiety płótno robią same, niektóre zaś dają do roboty innym, lub specyalistom płóciennikom, którym płacą od 3½—4 kop. za wyrobiony łokieć.

Kapusty zwykle kwaszą na zimę 5—6 ćwiartek, co też wystarcza; niektórzy jednak kwaszą więcej i zbywającą dają krowom, które także dostają wszystkie zielone liście, głąby, oraz część niejedzonej kapusty w główkach. Zanotowałem 11 razy, że kapustę sprzedawano (za 13 rb. 89 kop. ogółem), a tylko 6 razy ją kupowano (za 6 rb. 90 kop.). Na kapuście więc obliczano przeze mnie 110 rodzin jeszcze zyskały 7 rb.

Następną częścią ordynaryi — utrzymania dawanego w naturze dla parobka, jest zimowe i letnie utrzymanie dla krowy. Zwykle ze względu na brak paśników dwory przyjmują tylko służbę z jedną krową (w 74 wyadkach na 110), 32 parobków zgodziło się z 2-ma krowami, 1 bez krowy, a 1 aż z 3-ma; niektóre dwory pozwalają na lato przybierać służbie oprócz posiadanej, jeszcze po krowie. Utrzymanie krowy roczne obliczają u nas jako warte 10 rubli, tyle przynajmniej biorą ci, co przyjmują krowy obce, na swoją oborę i na paśnik; dawniej — liczono za utrzymanie krowy tylko 8 rubli. Niektórzy jednak obywatele, obliczając wartość obroku, utrzymanie krowy uważają za równe 40 rublom; zapominają jednak o tem, że sieczki w większej ilości w mieście nie sprzedadzą, i że znaczna część zjedzonej słomy wraca się obywatelowi w postaci nawozu. Dla krów parobków najczęściej paśnik bywa osobny, tj. oddzielnie od krów dworskich, dla których czasem obywatele zachowują miejsce lepsze; pomimo to jednak liche krowy chłopskie, niewiele co warte na wygląd, dają mleka bynajmniej nie mniej, niż dworskie, a zwykle nawet więcej. Nic dziwnego, krowa to karmicielka rodziny chłopskiej; dbają też o nią prawie jak o dziecko, gotują jej picie, zaprawiają resztkami jedzenia, kartoflami, obierkami, liśćmi od kapusty. To też krowa chłopska daje średnio znaczną stosunkowo ilość mleka, gdyż około 1,580 kwart rocznie. Zrozumieć to można, jeżeli uwzględnimy, że służący wspaniałością wyglądu krowy niemlecznej długo się zachwycać nie może, lecz dopóty handluje, dopóki nie natrafi na taką, co daje dużo mleka. „Sprzykrzyło mi się patrzeć na tę jej urodę, kiedy nie dawała mleka — tak mi mówił parobek z Dłużniewa; — sprzedałem ją, kupiłem niedużą i paskudną, ale mleczną.“ Myślałem, że krowy chłopskie, dając tak dużo

*) Wbrew utartemu zdaniu, że lud nasz główną część pożywienia wyciąga z kartofli, obliczeniami swemi, umieszczonemi w czasopiśmie lekarskiem, wykazałem, że służba nasza ze spożywanych przez siebie kartofli otrzymuje tylko 9% wszystkiego zużywanego białka, a 2% tłuszczu i 39% wodanów węgla.

mleka, muszą go dawać w gorszym gatunku, tymczasem badania p. Rudowskiego—zajmującego się wyrobem masła i serów—wykazały, że mleko to nawet zawierało nieco więcej tłuszczu, niż mleko od krów dworskich. Mleko jest głównym dostarczycielem łatwostrawnego białka zwierzęcego i tłuszczu, tak cenionego przez ludność fizycznie pracującą. Może dzięki tylko nabiałowi nasz parobek trzyma się pod względem fizycznym wcale nie najgorzej. To wszystko nam tłomaczy, dlaczego dobry paśnik dla krów i dobra ziemia pod kartofle ściąga zawsze dużo służby, która zgodzi się w takie miejsce nawet na mniejsze zasługi i na mniejszą ordynaryę. Bieda mocno daje się we znaki parobkowi, szczególnie kiedy ma małe dzieci, gdy mu krowa padnie, przebije się lub też struje i nie daje mleka; wtenczas trzeba znacznie więcej wydać na „okrasę“ (słoninę), a i ta w żaden sposób nie zastąpi mleka. Kupują też niektórzy ser, mleko i masło (8 rodzin za 11 rb. 40 kop.), częściej jednak się zdarza, że niezbyt liczne rodziny sprzedają mleko, a szczególnie masło (10 rodzin ogółem za 81 rb. 46 k.). Na nabiale więc obliczane przez nas rodziny zarobiły 70 rb. 6 k. Kiedy pada parobkowi krowa, to zwykle stara się ją przed zdechnięciem dorznąć, a mięso rozbiorą sąsiedzi, tacy sami bogacze, jak i właściciel padłej chudoby, i w ten sposób poszkodowanemu zmniejsza się nieszczęście, bo jakąś połowę wartości, złożą mu za mięso. Czasami parobek traci na krowie dlatego, że przyprowadził ją z majątku o pastwiskach polnych, do majątku o paśniku leśnym. Krowa taka zwykle choruje, „mici się,“ jak mówią parobcy, i trzeba ją na gwałt sprzedawać, bo albo przestaje dawać mleka, albo też zdycha.

Stratę na krowach zanotawałem tylko 2 razy w ogólnej ilości 25 rubli. Krowa chłopska kosztuje od 24 do 36 rubli, rzadko więcej, a nigdy prawie mniej, i najlepiej (najwięcej) daje mleka na paśnikach polnych, gdzie chociaż mała trawa, ale żyzna; na paśnikach zaś leśnych i na łąkach nizkich, tak zwanych kwaśnych, krowy wyglądają bardzo dobrze, mają dużo na sobie mięsa, ale mleka dają mało. Ponieważ krowa daje najwięcej mleka po ocieleniu, więc też parobcy we wszelki możliwy sposób starają się pozbywać krów jałowych, i ze względu na mniejszą ilość mleka, i na stratę dochodu z cielaka, która wynosi średnio dla każdej ze 110 rodzin 3 ruble i 12 kopiejek. Cielaka zwykle parobek trzyma do tygodnia, potem go sprzedaje pachciarzowi wiejskiemu lub, jeżeli wyjątkowo ładny, dziedzicowi. Cena waha się od 1,50 kop do 5 rubli.

Oprócz krowy parobek zwykle chowa kilka kur i 1 lub więcej świń. Kur najczęściej miewa po 8, czasami jednak zapobiegliwe gospodynie chowają ich do 18, nieraz znów tylko po 2, a nawet w 1 wypadku żadnej; bywa to wtenczas kiedy kury wskutek panującej epidemii wyzdychają a zdarza się to bardzo często. Kury żywią kartoflami, zebranymi na polu kłosami, a czasami to zapewne i jakiem ziarnkiem, wziętem ze stodoły. Średnio (według podań parobków i tych obywatelek, które prowadzą rachunki dochodów z drobiu) kury niosą po 90 jajek rocznie,—a dochód z jednej wynosi conajmniej rubla; liczę przeto, że 1 kura zrobi szkody dworowi mniej więcej około 25 kop. Jajka parobcy w części zużywają sami, na Wielkanoc (święcone) i podczas żniw; w znaczniejszej jednak części sprzedają i pieniądze otrzymywane ze sprzedaży obracają, jak mi większość jednozgodnie podawała, na pieprz, ocet, naftę i mydło. Drugim dochodem z kur bywa kilkanaście złotych ze sprzedaży kurcząt i starych kur, które gospodynie zapobiegliwe sprzedają jak tylko zauważą zmniejszenie ich nieśności. Z zasady sprzedają zawsze wszystkie młode kogutki, jako nie dające żadnego pożytku. Dochód ze sprzedaży jajek wynosi, według podawanych mi przez parobków wiadomości, 4,21 kop., a z kur i kurcząt 1 rb. 88 kop. na jedną rodzinę. W 23 wypadkach zanotowano, że jajek i kurcząt wcale nie sprzedawano wskutek choroby i padania kur. W niektórych majątkach kury ulegają innej jeszcze zagładzie; mianowicie bywają zabijane z rozkazu dziedzica, jeżeli robią zbyt wiele szkody w zbożu.

Dla zabezpieczenia sobie pewnej ilości słoniny, szynki i kiełbasy na Wielkanoc, a nieco mięsa na ostatki i wędzonki na żniwa, kiedy więcej ciężkiej pracy, parobcy chowają zwykle świnie. Ilość (ogółem 199 dla 110 rodzin) bywa rozmaitą od 1 do 2 lub 4, a czasami nawet do 12, jeżeli się któraś z macior oprosi. Często chowają tylko jedną maciorę, wszystkie prosięta z niej sprzedają, z wyjątkiem jednego, któremu podsuwają więcej pożywienia (żarcia) ażeby, „dostał okrasy i był zdatny na zabicie.“ Zabijają najczęściej na ostatki, gdyż wtenczas mają mięso na ostatnie dni karnawału, a kiełbasy i szynki etc. wędzą się na Wielkanoc. Niektórzy parobcy nie chowają macior, lecz kupują małe prosięta, sprzedają je, kiedy podrosną i znów kupują inne i na tej operacyi handlowej zarabiają wcale nieźle, bo nieraz 30 aż do 65 rubli rocznie, ma się rozumieć, wtenczas kiedy świnie się wiodą, to jest kiedy nie chorują i nie zdychają, lub kiedy nie ukradnie złodziej. Padanie jednak świń po wsiach zdarza się dosyć często—a wtenczas nietylko się nie zarabia ale i traci to, co się na wieprzka wydało. Średni dochód dla 1 rodziny, uwzględniając i te, które się nie sprzedały, z hodowli świń wynosi 13 rubli i 24 kop.; 4-ch jednak parobków wcale świń nie chowało, a 14 nie miało żadnego z nich dochodu. Ze 100 rodzin 21 nie biło wcale wieprza, lecz tylko kupowało słoninę i mięso za gotówkę, a 89 rodzin biło corocznie świnkę, wartości średniej 18 rubli i 26 kop. (240 funtów żywej wagi). Jeżeli rozłożymy wartość wszystkich zabitych przez parobków wieprzy na całe 110 rodzin, to otrzymamy jako średnią na 1 rodzinę—14 rubli 77 kop., co równa się sztuce około 197 funtów żywej wagi. Niektórzy jednak biją wieprze wartości 35 rubli, a inni tylko 2-rublowe prosięta. W wielu majątkach wieprze muszą być chowane ciągle w chlewie, w niektórych zaś wolno je puszczać na dworski paśnik, a wtenczas pasie albo które z dzieci, albo niedołężny ojciec parobka, wreszcie dworski lub obcy pastuszek, któremu zwykle płaci się 75 kop. rocznie. Wartość paśnika dla sztuki nierogacizny oceniam na rubli dwa. Mięso, otrzymywane z zabijanych wieprzy parobkom nie wystarcza, tembardziej, że nie można go przecież cały rok trzymać, a niejako z obowiązku każda rodzina musi mieć na święta kawałek mięsa; dla tego też prawie każda rodzina dokupuje, chociaż niewiele. Na Boże Narodzenie z obowiązku niejako każdy mieć musi 6 do 15 funtów wołowiny; na Wielkanoc zaś ci, co nie zabili własnego wieprzka, kupują 12 lub 20 funtową szynkę i 2 do 5 funtów kiełbasy; w innym czasie parobcy kupują mięso najczęściej na ostatki, na Zielone świątki i we żniwa, kiedy największa robota, lub też wtenczas, kiedy zmarnuje się (np. złamie nogę, lub przebije się) sąsiadowi, lub dworowi jakaś sztuka inwentarza; od wiejskich rzeźników żydów parobcy kupują najczęściej baraninę i cielęcinę. Czasami podczas jakiejś rodzinnej uroczystości, lub i podczas choroby żony (po dziecku) albo kogokolwiek z rodziny, biją kurę, kogutka, wreszcie kaczkę, lub prosię. Ogółem 110 rodzin dokupiło 2,390 funtów mięsa, co daje na 1 rodzinę $21^1/_2$ funtów. 12 rodzin nie dokupywało mięsa. Słoniny otrzymywanej z zabijanego wieprza, również zwykle nie wystarcza; większość przeto rodzin, nie licząc nawet tych, co nie biją wieprzy, „okrasę“ musi nabywać w mieście i to w dosyć znacznych ilościach, mniej więcej po 20 kop. funt. Ogółem 110 rodzin kupiło słoniny 1919 funtów (to jest po $17^1/_2$ na rodzinę) i 35 rodzin okrasy nie dokupywało wcale.

Ostatnią częścią składową utrzymania, dawanego przez dwór parobkom — jest mieszkanie, sklep na kartofle i chlewek dla świń. Mieszkanie składa się zwykle z 1 izby o 1 lub 2 oknach, z glinianym najczęściej zamiast podłogi tokiem. Mieszkania dla służby dwór zwykle daje we własnych drewnianych, lub murowanych domach, zwanych czworakami, ośmio lub szesnasto-rakami, względnie do tego, ile w takim budynku zrobiono mieszkań. Do izby też zwykle dodają komórkę, w której można umieścić jakąś beczkę, nieco kartofli, oraz mniej używane naczynia, jak np. dzieżę do robienia chleba, motykę, grabie, szpadel etc., komórki te mają dosyć duże znaczenie, gdyż pozwalają na usunięcie z izby mieszkalnej zanieczyszczającej powietrze kłody z kapustą. Co do zawartości w izbach powietrza, to zwykle w starych domach na średnią rodzinę bywa go zamało, czasami nawet tylko 8 metrów na osobę, wobec minimalnego wymagania hygieny conajmniej 15 metrów sześciennych na człowieka dorosłego. Duszeniu się mieszkańców zapobiega chyba naturalna lecz nieumyślna wentylacya przez nieszczelne ściany, drzwi i okna, które za to, o ile dużo przepuszczają powietrza, o tyle mało znów światła, gdyż w żadnej prawie izbie nie znalazł on pożądanego przez hygienę stosunku powierzchni okna do podłogi jako 1 do 12, lecz 1 do 21, do 29, a co najwyżej do 1 do 13. W większości chałup gołem okiem, szczególnie w zimie, zauważyć można znaczną dosyć wilgoć, która na zdrowie mieszkańców dobrze chyba nie wpływa. Nowobudowane mieszkania dla służby odznaczają się przynajmniej większą obszernością lecz i w nich nie uwzględniono potrzeby większej ilości światła, ani też nie przedsięwzięto żadnych zabezpieczeń przeciwko wilgoci,—co jest wielce szkodliwem ze względu na tę okoliczność, że bardzo wiele domów dla służby, stosując się do drogi, stawiają szczytami do wschodu i zachodu; jedna więc połowa mieszkania ma dobre światło południowe, druga zaś nigdy w swych oknach nie ogląda słońca. Otoczenie czworaków i ośmioraków bywa nadzwyczaj nieestetyczne, trochę piasku w lecie, dużo błota na wiosnę, i jesienią doły, porobione przez nierogaciznę, nieco suchych gałęzi na opał, na których się suszą wyprane „łachy“ a pod ścianami,—szczególnie od tyłu, wstrętne zbiorowisko ludzkiego nawozu, o ile go nie zdążyła sprzątnąć wiejska służba sanitarna—świnie; przed samą sienią śmietnik czasami z gnojówką, podchodzącą prawie pod próg. Prawda, że w niechlujnem zachowaniu otoczenia izb największy udział biorą rodziny parobków, ale czyż od nich mamy oczekiwać inicyatywy poprawy obecnego stanu i zaprowadzenia większego porządku? Od nich, którzy może przebędą w danem miejscu rok, a może i do roku nie dociągną. Czyż nie obowiązkiem to obywateli, właścicieli siedzib parobków, zaprowadzić koło czworaków porządek, nasadzić drzew owocowych lub wreszcie chociażby dzikich, założyć wprost przy każdem mieszkaniu przytykający do niego ogródek warzywny lub kwiatowy, ogrodzić go najlepiej brukiem kamiennym, żeby chrustu lub płotu nie rozebrano na podpałkę, i oddać, ze względu na wygórowany indywidualizm naszego narodu — każdemu parobkowi osobną ściśle wyznaczoną działkę pod jego dozór i w niepodzielne władanie? (D. n.).

Dr. L. Rutkowski.

List hr. Tołstojowej.

Cerkownyja Wiedomosti (w dodatku) zamieściły następujący list hr. Tołstojowej do metropolity petersburskiego:

Wasza Przewielebność!

Przeczytawszy wczoraj w gazetach surowe rozporządzenie Synodu o odłączeniu od cerkwi męża mego, hr. Leona Mikołajewicza Tołstoja, i ujrzawszy w liczbie podpisów pasterzy cerkwi i Wasz podpis, nie mogłam pozostać na to zupełnie obojętną. Bolesne oburzenie moje nie ma granic. I nie wychodzę z tego punktu widzenia, że od tego aktu piśmiennego zginie duchowo mój mąż: to nie jest rzeczą ludzką, lecz Boga. Życie duszy ludzkiej z punktu widzenia religii nie jest znane, oprócz Boga, nikomu i na szczęście niezależne. Lecz z punktu widzenia tej Cerkwi, do której należę i od której nigdy nie odstąpię, a która utworzona jest przez Chrystusa dla udzielenia błogosławieństwa w imieniu Boga we wszystkich ważnych momentach życia ludzkiego: urodzin, ślubów, śmierci, boleści i radości ludzkich, która głośno powinna wypowiadać prawo miłości, przebaczenia, miłości dla nieprzyjaciół i tych, którzy nas nie cierpią, modlić się za wszystkich — z tego punktu widzenia, dla mnie niepojętem jest rozporządzenie Synodu.

Ono wywoła nie uznanie (chyba od *Moskowskich Wiedomostiej*), lecz oburzenie w ludziach i wielką miłość i współczucie dla Leona Mikołajewicza, w razie jego śmierci.

Muszę wspomnieć jeszcze o boleści doznanej przeze mnie z powodu tego nonsensu, o którym słyszałem przedtem, a mianowicie: o sekretnem rozporządzeniu Synodu do duchowieństwa nie odprawiać modłów żałobnych w cerkwi w razie śmierci Leona Mikołajewicza.

Kogoż to chciano ukarać, zmarłego człowieka, który nic nie czuje, czy też jego otoczenie wiernych i bliskich mu ludzi. Jeśli to groźba, to do kogo i do czego zwrócona?

Czyż w samej rzeczy dla odprawienia nabożeństwa i modłów w cerkwi nie znajdę albo takiego porządnego duchownego, który nie zlęknie się ludzi wobec miłości Boga, lub takiego którego przekupię znacznym datkiem pieniężnym w tym celu.

Lecz ja tego nie potrzebuję. Dla mnie cerkiew jest pojęciem abstrakcyjnem i zasługi jej uważam tylko tych, którzy dobrze pojmują znaczenie cerkwi.

Gdybyśmy zaś za cerkiew uważać chcieli ludzi, którzy się ośmielają w swej złości obrażać, najwyższe przykazanie: miłość Chrystusa, to dawno byśmy wszyscy szczerze wierzący i uczęszczający do cerkwi odeszli od niej.

I winnymi są grzesznego odstępstwa od cerkwi nie ludzie zbłąkani, lecz ci, którzy dumnie stanęli na jej czele i zamiast miłości, pokory i przebaczenia stali się duchowymi prześladowcami tych, którym prędzej przebaczy Bóg, za ich ciche, pełne miłości i pomocy dla innych, a pozbawione dóbr doczesnych życie chociaż i po za cerkwią, niż pasterzom Jej, którzy noszą brylantowe mitry i gwiazdy, a wymierzają kary i odłączają od Cerkwi.

Zaprzeczyć słowom moim przez dowodzenia nieszczere łatwo. Lecz głębokie zrozumienie prawdy i istotnych zamiarów ludzkich nikogo w błąd nie wprowadzi."

Odpowiedź Metropolity jest następująca:

Nie to jest bolesnem, co uczynił Synod, ogłosiwszy o odłączeniu od cerkwi męża Waszego lecz to, co uczynił on sam z sobą, wyrzekłszy się wiary w Jezusa Chrystusa. Przeciwko takiemu wyrzeczeniu się wiary powinna Pani była dać wyraz swemu bolesnemu oburzeniu; nie od kawałka rzecz prosta drukowanego papieru ginie człowiek, lecz dla tego, że się odwrócił od źródła życia wiekuistego.

O mężu Pani, póki żyje, jeszcze nie można powiedzieć, że odpadł od cerkwi i nie jest jej członkiem, gdyż może uczuć skruchę i połączyć się z cerkwią. Mówiąc o tem w swej odezwie. Synod zaświadczył tylko istnienie samego faktu i dla tego oburzać się nań mogą tylko ci, którzy nie pojmują, co czynią. Pani otrzymujesz wyrazy współczucia od całego świata. To mnie nie dziwi, lecz sądzę, że nie ma się z czego cieszyć. Jest sława ludzka — jest Boska.

Gdy w roku zeszłym gazety rozniosły wieść o chorobie hrabiego, to w łonie duchowieństwa wynikło pytanie, czy należy go, jako tego, który się wyrzekł wiary i cerkwi, pochować po chrześciańsku i odprawiać modły nad jego grobem? Zwrócono się w tym względzie do Synodu, który jako informacyę dla duchowieństwa, dał sekretnie i dać mógł jedną tylko odpowiedź: Nie należy, jeśli umrze, nie połączywszy się napowrót z cerkwią. Dla nikogo w tem groźby żadnej niema i inna odpowiedź nie mogła być, a ja nie sądzę, aby znalazł się nawet i jakibądź nieodpowiedni duchowny, któryby zdecydował się pochować hrabiego po chrześciańsku, a gdyby to uczynił, to taki pogrzeb niewierzącego byłby występną profanacyą świętego obrządku. Na cóż zresztą wykonywać przymus nad Pani mężem, przecież niewątpliwie on sam nie życzy sobie chrześciańskiego pogrzebu? Skoro Pani, jako żywy człowiek, pragnie uważać się za członka cerkwi, która jest w rzeczywistości związkiem żywych rozumnych istot w imię żywego Boga, to upada samo przez się Pani oświadczenie, że cerkiew dla niej jest pojęciem abstrakcyjnem.

I daremnie Pani oskarża duchowieństwo o złą wolę i naruszenie wyższego przykazania miłości, głoszonej przez Chrystusa. W akcie Synodu tego naruszenia niema. Przeciwnie, jest to akt miłości, akt wezwania męża Pani do powrotu do cerkwi i wiernych do modlitwy za niego.

Pasterzy cerkwi ustanawia Bóg, lecz nie oni sami dumnie — jak Pani mówi — uznali się za jej zwierzchników. Noszą oni mitry brylantowe i gwiazdy, lecz to w ich służbie nie jest zupełnie rzeczą istotną. Pozostawali oni pasterzami i ubierając się w grubą odzież, prześladowani i gonieni i pozostaną takimi na zawsze, chociażby przyszło im ubierać się i w grubą odzież, choćby ich lżyli i jakiemibądź pogardliwemi słowami obrzucali.

W zakończeniu metropolita mówi: Niech Pani Bóg błogosławi i ochroni. Nad mężem Pani niech się zmiłuje.

NA MARGINESIE.

— W Anglii wyszło tłomaczenie znanej czytelnikom *Prawdy „Psychologii kobiety"* Ludwiki Marholm, ale u zdrowo chowanych i zdrowo myślących Angielek nie zdobyło, zdaje się, uznania. *„Przegląd"* poświęcony sprawom kobiecym (Englishwoman's review) ubolewa, że autorka *psychologii* z nauki czytania i pisania taki zły zrobiła użytek i cieszy się, że nie jest Angielką a z oburzeniem odtrąca przypuszczenie, ażeby wśród zdrowych, czynnych i w życiu zawsze jakiś cel mających, dziewcząt angielskich mógł się znaleźć typ pokrewny temu, którego przedstawicielki w Niemczech czują się byle czem zbrukane: spojrzeniem zupełnie dla siebie obojętnego mężczyzny, myślą chwilowo i przelotni pod wpływem jakiegoś przemijającego wrażenia wywołaną, której ślady w duszy tak starannie usiłują zatrzeć jak ślady brudnego dotknięcia na ręku. Zarzucają Ludwice Marholm, że zmysłowość bierze za miłość, nie mając najmniejszego pojęcia o tem, jak może kochać bez bałwochwalstwa, ale z całą potęgą uczucia kobieta zdrowa, czynna, rozumna i tkliwa. Protestują z gniewem przeciwko twierdzeniu Morholmowej, ze mężczyzna z kobiety może zrobić co zechce: kurtyzankę, amazonkę lub rozumną kobietę. Takież my to miękie ciasto w ich palcach? — zapytują. I jako odpowiedź przytaczają słowa Alfreda Russel Wallace'a: W społeczeństwie, którego kobiety materyalnie niezależne, będą dopuszczane do równego z mężczyznami udziału tak w pełnieniu obowiązków publicznych jak w używaniu umysłowych i towarzyskich uprzyjemnień życia, ilość niezamężnych z wyboru wzrośnie bezwarunkowo. Kobieta będzie sobie wówczas uważała za największe upodlenie związek z człowiekiem, którego nie mogłaby szanować i kochać. A jeśli my mężczyźni mamy niejakie podstawy przyznawać sobie, że w sądach naszych o drugich kierujemy się rozumem, poczuciem sprawiedliwości i dobra publicznego, to tem skwapliwiej, tem ufniej powinniśmy wielkie i do rozwiązania niełatwe zadanie poprawienia rasy ludzkiej powierzyć oświeconym umysłom i czystym instyktom kobiet przyszłości.

WIADOMOŚCI URZĘDOWE.

Najwyższy rozkaz: Generał-adjutant Czertkow mianowany Generał-gubernatorem warszawskim i dowodzącym wojskami warszawskiego okręgu wojennego.

(Generał adjutant Czertkow liczy obecnie lat 71, Ukończył korpus paziów i przechodząc różne stopnie służby wojskowej, w roku 1867 otrzymał godność generał-adjutanta. W roku 1877 otrzymał nominacyę na czasowego generał-gubernatora kijowskiego, podolskiego i wołyńskiego oraz dowodzącego wojskami kijowskiego okręgu wojennego. W roku 1881 został członkiem rady państwa, a w r. 1883 otrzymał godność generała jazdy).

Naczelnik sztabu okręgu wojennego warszawskiego, generał-lejtnant Puzyrewskij awansowany na generała piechoty i mianowany pomocnikiem dowodzącego wojskami tegoż okręgu.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Według ostatnich wykazów statystycznych, ludność Warszawy do dnia 13 stycznia r. b. wynosiła 711,988 dusz, których 301,289 stałych mieszkańców i 410,699 niestałych, w tej liczbie 364.999 kobiet i 346,989 mężczyzn. Podług wyznań Warszawa liczyła 35,757 prawosławnych, 400,395 osób wyznania rzymsko-katolickiego, 109 odszczepieńców, 282 ormian-gregoryan, 20,222 osób wyznań protestanckich, 254,712 żydów, 486 mahometan, 25 karaimów.

— Wędrówka tegoroczna ludu naszego do Prus na roboty przybrała rozmiary bodaj większe, niż w roku zeszłym. Przez sam tylko Ostrów pod Kaliszem wywędrowało około 50,000. W Szczypiornie często 500 do 600 ludzi czeka podpisu kartek, pozwalających na ośmiomiesięczny pobyt za granicą. Jak pisze p. Ł. D. R. do *Gaz. kaliskiej*, „czekają nieraz bardzo długo, wpuszczani do sali celnej małemi gromadkami. Ale zwłoka mało ich obchodzi; rozsiadają się wygodnie na mokrej ziemi i gwarzą wesoło. Wogóle humory mają świetne."

— W *Now. Wr.* znajdujemy doniesienie z Tsintsikaru: „Z nastaniem odwilży wskutek mnóstwa rozrzuconych trupów Chińczyków i Mandżurów zabitych lub zmarłych z głodu w Tsin-tsikarze, daje się uczuwać zła woń nie do zniesienia. Stojące tutaj wojsko rosyjskie z tego powodu zmuszone jest przenieść się z miasta w obawie chorób epidemicznych. Stan sanitarny miasta jest opłakany."

— „Towarzystwo czytelni ludowych" w Poznańskiem rozpowszechniło w roku ubiegłym 17,492 książek, a nowych czytelni założyło 52.

— „Towarzystwo pomocy naukowej dla młodzieży," założone w Poznaniu przed 60-ciu laty przez dr. Karola Marcinkowskiego, udzieliło w tym roku zapomogi 450 młodzieńcom, kształcącym się w różnych zawodach. Fundusz żelazny Towarzystwa powiększył się o 70,000 marek.

Sądy. Petersburska Izba sądowa na specyalnem posiedzeniu z udziałem przedstawicieli stanów, rozstrząsnąwszy d. 30 marca, w porządku określonym art. 201^1 ust. krym. sprawę mieszczanina homelskiego, Piotra, syna Włodzimierza Karpowicza, oskarżonego o zabójstwo z premedytacyą ministra oświaty, Bogolepowa, postanowiła: oskarżonego mieszczanina homelskiego, Piotra syna Włodzimierza Karpowicza, lat 26, na mocy 1454, 2 art. 19 i art. 129 ust. o karach, pozbawić wszelkich praw stanu i zesłać do robót ciężkich na lat 20, ze skutkami określonymi w art. 25 ust. karnej. (*Praw. Wiest.*).

Prasa. *Praw. Wiest.* ogłasza, że na mocy art. 120 ustawy o cenzurze uznano za niebyłe pozwolenie udzielone Zalemanowi w Łodzi na wydawnictwo *Kuryjer przemysłu chemicznego*. Na zasadzie zaś artykułu 121 tejże ustawy uznano za nieistniejące koncesye na następujące czasopisma warszawskie: *Priwislan. wiestnik* (wydawca M. Diedow), *Kuryerek powszechny informacyjno-adresowy* (w jęz. ros. i polsk., wydawca W. Ratyński), *Kuryer rolniczy* (wyd. A. Trylski), *Przegląd polski rozwoju przemysłu fabrycznego, handlu oraz rolnictwa* (wyd. Wł. Siniarski), *Światło* (wyd. Jadwiga Golczówna) i *Tygodnik szachowy* (wyd. W. Dzierzbicki).

Szkoły. Ministeryum oświaty — jak donosi *Wołyń* — zezwoliło obecnie w wielu męskich i żeńskich zakładach naukowych Cesarstwa na wykład religii rzymsko-katolickiej, z tym jednak warunkiem, aby wykład ten prowadzony był w języku rosyjskim i według podręczników, uznanych do celu tego za odpowiednie przez komitet uczonych ministeryum oświaty.

—Ministeryum skarbu opracowywa obecnie projekt ustawy normalnej szkół dla robotników, jakie mają być zakładane przy fabrykach. Ustawa ma na celu, jak donosi *Rosya*, ułatwienie formalności przy zakładaniu tych szkół. Ustawa przewiduje rozmaite postaci uczelni, mianowicie: szkoły, klasy wieczorne i niedzielne, kursy, warsztaty szkolne, odczyty i t. p. Wykłady mają być zastosowane przedewszystkiem do potrzeb przemysłu.

Ruch kobiecy. We Francyi kobiety krzątają się około założenia stowarzyszenia „Związek matek." Cele związku są bardzo wielostronne. Założycielki biorą w opiekę młode dziewczyny wszystkich sfer, by przez wychowanie przygotować je do życia i jego obowiązków. Są one tego zdania, że praca kobiety na zewnątrz domu da się pogodzić z jej obowiązkami żony i matki. A ponieważ we Francyi żyje 3 miliony kobiet niezamężnych i nieobarczonych obowiązkami gospodyni i wychowawczyni, więc należy im zapewnić możność zużytkowania sił, pracy i zarobienia na utrzymanie.

— We Francyi obok 11,612,072 mężczyzn pracuje 5,672,806 kobiet, których zarobki wynoszą rocznie 3,120,000,000 fr. W urzędach stosunek mężczyzn do kobiet ma się jak 100 do 23, w sferze robotniczej — jak 100 do 36,5, w klasie służebnej — jak 100 do 65.

Przemysł i handel. Projektowana wielka spółka hodowców wołów celem bezpośredniego dowozu do Warszawy, zdaje się, posuwa się naprzód. W Wilnie ma się odbyć wkrótce zjazd hodowców, a do magistratu warszawskiego zwrócono się o przysłanie delegata na zjazd. W r. 1856 za staraniem Stanisława Brykczyńskiego utworzyła się także spółka. Należeli do niej: Brykczyński, Kurtzowie, Andrzej Zamoyski i mecenas Majewski. Bank polski udzielił spółce kredytu na 500,000 rb. Woły na rzeź sprowadzała spółka z Podola, ale wskutek braku kolei i przeszkód doznawanych od niechętnych, poniosła straty i musiała się rozwiązać.

— *Daily Expres* podaje wiadomość, że syndykat przedsiębiorców angielskich i włoskich nabył w prowincyach chińskich Szansi i Honan na terytoryum Yangtsekiangu 71,000 angielskich mil kwadr. najbogatszego w minerały obszaru. Podobno zagłębie węglowe ma 3,000 mil, ciągną się również wielkie pola z naftą i żelazem. Kapitał przeznaczony na eksploatacyę wynosi 6 milionów funtów. Poseł chiński w Londynie zapewnia, że kopalnie węgli są tak obfite, iż mogą przez stulecia zaopatrywać całą Europę w węgiel.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Марта 1901 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.